

ALDOUS
HUXLEY

DRZWI PERCEPCJI

NIEBO I PIEKŁO



Aldous Huxley

Drzwi percepcji

(przeł. Piotr Kołyszko)

Gdyby oczyścić drzwi percepcji,

Każda rzecz jawiłaby się taka, jaka jest: nieskończona.

Wiliam Blake (przeł. R. Krynicki)

W 1886 roku niemiecki farmakolog, Ludwig Lewin, opublikował pierwszą systematyczną monografię kaktusa, któremu nadano później nazwę od jego nazwiska. Anhalonium lewinii był w nauce czymś nowym. Dla pierwotnej religii oraz dla Indian Meksyku i Południowego Zachodu Ameryki był przyjacielem od niepamiętnych czasów. W gruncie rzeczy, był o wiele więcej niż przyjacielem. Wystarczy się odwołać do słów jednego z pierwszych Hiszpanów, którzy odwiedzili Nowy Świat: „spożywają korzeń, który nazywają pejotlem i który czczą jak bóstwo”.

Dlaczego czcili go niczym bóstwo stało się jasne, gdy tak wybitni psychologowie jak Jaensch, Havelock Ellis i Weir Mitchell podjęli eksperymenty z meskaliną, aktywnym składnikiem pejotlu. Co prawda, nie posunęli się nigdy do bałwochwalstwa, ale wszyscy przyczynili się do przyznania meskalinie wyjątkowego znaczenia. Stosowana w odpowiednich dawkach, zmienia cechy świadomości bardziej niż inne substancje ze składnicy farmakologa, chociaż jest mniej od nich toksyczna.

Badania nad meskaliną prowadzono wyrywkowo od czasów Lewina i Havelocka Ellinsa.

Chemicy nie tylko wyizolowali alkaloid; nauczyli się go syntetyzować, toteż dostawy przestały być uzależnione od rzadkich, sporadycznych zbiorów pustynnego kaktusa.

Psychiatrzy aplikowali sobie meskalinę w nadziei uzyskania lepszego — bo z pierwszej ręki — rozumienia procesów psychicznych swych pacjentów. Prowadząc badania, niestety na zbyt małej populacji i w zbyt wąskim

przedziale warunków eksperymentalnych, psychologowie zaobserwowali i skatalogowali niektóre z bardziej uderzających efektów tego środka. Neurolodzy i fizjolodzy poznali częściowo mechanizmy jego działania na ośrodkowy układ nerwowy. Prócz tego, przynajmniej jeden profesjonalny filozof zażył

meskalinę dla światła, jakie może ona rzucić na odwieczne, nie rozwiązane zagadki jak miejsce umysłu w przyrodzie czy relacja między mózgiem a świadomością. Tak wyglądała sytuacja dopóty, dopóki przed dwoma czy trzema laty nie zaobserwowano nowego i prawdopodobnie bardzo znaczącego faktu.¹ W gruncie rzeczy, już od kilku dziesięcioleci fakt ten sam się nasuwał; ale, praktycznie rzecz biorąc, nikt go nie dostrzegł, dopóki młodego angielskiego psychiatry, pracującego obecnie w Kanadzie, nie uderzyło duże podobieństwo składu chemicznego meskaliny i adrenaliny. Dalsze badania wykazały, że kwas lizergowy, wyjątkowo silny halucynogen otrzymywany ze sporyszu odznacza się strukturalnym biochemicznym pokrewieństwem ze wspomnianymi substancjami. Następnie przyszło odkrycie, że adrenochrom, będący produktem rozpadu adrenaliny, może wywołać wiele objawów zaobserwowanych podczas intoksykacji meskaliną. Tyle że adrenochrom występuje zapewne spontanicznie w ludzkim ciele. Innymi słowy, każdy z nas może potencjalnie wytwarzać minimalne dawki chemiczne, które jak wiemy wywołują znaczne zmiany w świadomości. Niektóre spośród tych zmian przypominają zmiany występujące w schizofrenii, owej tak charakterystycznej pladze dwudziestego wieku. Czy zaburzenia psychiczne są związane z zaburzeniami chemicznymi? Zaburzenia chemiczne natomiast związane są ze stresami psychicznymi wpływającymi na nadnercza? Stwierdzenie tego już teraz byłoby przedwczesne i nieroztropne. Możemy powiedzieć co najwyżej tyle, że tak wygląda sprawa *prima facie*. Tymczasem badacze posuwają się systematycznie tym tropem, detektywi — biochemicy, psychiatrzy, psychologowie — idą tym śladem.

Zbiegiem wyjątkowo dla mnie szczęśliwych okoliczności znalazłem się, wiosną 1953 roku, akurat na samym tropie. Jeden z detektywów przybył w jakiejś sprawie do Kalifornii.

Pomimo siedemdziesięciu lat badań, psychologiczny materiał jakim

dysponował był nadal absurdalnie znikomy, zależało mu więc na tym, by go poszerzyć. Byłem akurat na miejscu i miałem ochotę, a wręcz nieposkromioną chęć zostać świnką doświadczalną. Tak doszło do tego, że pewnego słonecznego majowego poranka połknąłem cztery dziesiąte grama meskaliny rozpuszczone w połowie szklanki wody i usadowiłem się, czekając na efekty.

Żyjemy razem, oddziałujemy i reagujemy na siebie; ale zawsze, we wszystkich okolicznościach, jesteśmy zdani na siebie. Męczennicy ramię l w ramię wkraczają na arenę; ale każdy z nich zostaje ukrzyżowany l w samotności. Objęci kochankowie próbują rozpaczliwie zespolić swe odizolowane uniesienia w jedną autotranscendencję; na próżno.

Każdy obleczony w ciało duch z samej swej natury jest skazany na to, by przeżywać cierpienie i radości w samotności. Wrażenia, uczucia, wglądy, fantazje — wszystkie one mają charakter prywatny i są nie do przekazania, chyba że za pośrednictwem symboli, niejako z drugiej ręki. Możemy gromadzić informacje o przeżyciach, nigdy jednak same przeżycia. Od rodziny po naród, każda grupa ludzi stanowi społeczność odrębnych wszechświatów.

Większość odrębnych wszechświatów jest na tyle podobna do siebie, by umożliwić interferencyjne rozumienie czy nawet wspólną empatię lub „wczuwanie się”. Pamiętając chociażby o naszych własnych nieszczęściach i upokorzeniach, możemy współczuć innym w podobnych sytuacjach, możemy postawić się (zawsze, oczywiście, w nieco pickwickowskim sensie) na ich miejscu. Ale w pewnych przypadkach porozumienie, między wszechświatami jest niepełne lub wręcz nie istniejące. Umysł to miejsce samo dla siebie, zaś miejsca zamieszkiwane przez obłąkanych i niezwykle utalentowanych są tak odmienne od miejsc zamieszkałych przez normalnych ludzi, że nie ma prawie zupełnie wspólnej płaszczyzny pamięci, która służyłaby za podstawę dla rozumienia lub współodczuwania. Padają słowa, ale niczego nie wyjaśniają. Rzeczy i wydarzenia, do których odnoszą się symbole, należą do wzajemnie wykluczających się sfer doświadczenia.

Prawdziwie zbawiennym darem jest widzieć siebie tak, jak widzą nas inni. Nie mniej ważna jest umiejętność postrzegania innych tak, jak oni sami siebie postrzegają. Tylko co wtedy, gdy ci inni należą do innego gatunku i

zamieszkują całkowicie obcy wszechświat? Na przykład, w jaki sposób zdrowy psychicznie człowiek może pojąć jak czuje się szaleniec?

Albo też, o ile nie urodzimy się w nowym wcieleniu wizjonerem, medium czy geniuszem muzycznym, jaką mamy szansę na odwiedzenie światów, które były domem dla Blake'a, Swedenborga i Johanna Sebastiana Bacha? Jak człowiek na samym krańcu ektomorfii i cerebrotonii może postawić się w sytuacji człowieka na krańcu endomorfii i wiscerotonii, czy też — poza przypadkami pewnych ograniczonych obszarów — dzielić uczucia człowieka na krańcach mezomorfii i somatotonii? Dla zaprzysięgłego behawiorysty takie pytania są, jak mi się wydaje, bezsensowne. Ale dla tych, którzy na poziomie teoretycznym wierzą w coś, co w praktyce uznają za prawdziwe — to znaczy, że doświadczenie posiada nie tylko

zewnętrzną, ale i wewnętrzną stronę — postawione tu problemy są rzeczywiste, tym bardziej poważne, że niektóre z nich są całkowicie nierozwiązywalne, inne rozwiązywalne tylko w wyjątkowych okolicznościach i przy użyciu metod dostępnych tylko nielicznym.

Tak więc, wydaje się zupełnie pewne, że nigdy nie będę wiedział, co to znaczy czuć się Sir Johnem Falstaffem czy Joe Louisem. Z drugiej strony, zawsze wydawało mi się możliwe, za pośrednictwem hipnozy lub na przykład autohipnozy, systematycznej medytacji, czy poprzez zażycie odpowiedniego środka chemicznego, dokonanie takiej zmiany normalnego stanu świadomości, by poznać, od wewnątrz, to o czym mówi wizjoner, medium, a nawet mistyk.

Kierując się lekturami na temat przeżyć po meskalinie wyrobiłem sobie z góry przekonanie, że środek ten wprowadzi mnie, przynajmniej na kilka godzin, w wewnętrzny świat opisywany przez Blake'a i A. E. (George William Russell). Ale moje oczekiwania się nie spełniły. Spodziewałem się, że będę leżeć z zamkniętymi oczyma, oglądając wizje wielobarwnych geometrii, ożywionej architektury, obfitującej w klejnoty i nieziemsko cudownej, krajobrazów z bohaterskimi postaciami, czy symbolicznych dramatów pulsujących nieustannie na granicy ostatecznego objawienia. Ale nie wziąłem, oczywiście, pod uwagę, nawyków mojej konstytucji psychicznej, faktów dotyczących mojego temperamentu, wychowania i zwyczajów.

Mam, i odkąd pamiętam, zawsze miałem słabą wyobraźnię wzrokową. Słowa, nawet płodne słowa poetów, nie wywołują w moim umyśle obrazów. Przy zasypianiu nie witają mnie wizje hipnagogiczne. Kiedy coś sobie przypominam, wspomnienie nie jawi mi się jako żywo postrzegane wydarzenie czy obiekt. Wysiłkiem woli mogę wzbudzić w sobie niezbyt żywe wyobrażenie tego, co miało miejsce wczoraj po południu, wyglądu Lungarno sprzed zniszczenia mostów, Bayswater Road, kiedy jedynymi autobusami były zielone, niewielkie, ciągnione przez stare konie pojazdy jadące z prędkością trzech i pół mil na godzinę. Takie wyobrażenia mają wszakże mało materialności i nie żyją własnym życiem. Wobec rzeczywistych, spostrzeganych przedmiotów znajdują się w takiej relacji jak duchy Homera wobec ludzi z krwi i kości, którzy przyszli je odwiedzić w królestwie cieni. Tylko wtedy, gdy mam wysoką gorączkę, moje obrazy umysłowe nabierają niezależnego życia. Tym, którzy dysponują silną zdolnością wizualizacji, mój świat wewnętrzny musi się wydawać przedziwnie monotony, ograniczony i nieciekawym. To był właśnie świat — ubogi, ale mój własny — który chciałem ujrzeć przemieniony w coś całkiem od niego odmiennego.

Zmiana, która rzeczywiście w tym świecie zaszła nie miała bynajmniej charakteru rewolucyjnego. W pół godziny po połknięciu środka zauważyłem powolny taniec złotych światła. W chwilę później, zaczęły nabrzmiewać i rozprzestrzeniać się pełne przepychu czerwone płaszczyzny, tryskając z jasnych węzłów energii, wibrujących nieustannie zmieniającym się, układającym we wzory życiem. Innym razem, zamknięcie oczu ukazało kompleks szarych struktur, wewnątrz których blade niebieskawe kule nabierały intensywnej solidności, a wyłoniwszy się, przesuwają bezszelestnie do przodu i znikają z pola widzenia.

Ale nigdy nie były to twarze, ani postaci ludzi lub zwierząt. Nie widziałem pejzaży, żadnych rozległych przestrzeni, żadnego magicznego rozrastania się czy metamorfozy budynków, niczego, co chociaż odległe przypominałoby dramat lub przypowieść. Inny świat, do którego wprowadziła mnie meskalina, nie był światem wizji; istniał przede mną, w tym co potrafiłem dostrzec otwartymi oczyma. Wielka zmiana nie dokonała się w sferze obiektywnego faktu. To, co się stało z moim subiektywnym wszechświatem, było względnie nieistotne.

Wziąłem pigułkę o jedenastej. W półtorej godziny później siedziałem w moim gabinecie wpatrując się intensywnie w mały szklany wazon. Wazon zawierał tylko trzy kwiaty — w pełni rozkwitniętą różę Portugalska piękność, żółtawo-różową z odcieniem ciepłej, płomienistej barwy u nasady każdego płatka; duży goździk w kolorze kremowym i karmazynowym; i białofioletowy u końca nadłamaney łodyżki, wyrazisty heraldyczny kwiat irysu. Przypadkowy i prowizoryczny mały bukiet urągał wszelkim zasadom tradycyjnego dobrego smaku. Tego ranka przy śniadaniu uderzył mnie żywy dysonans jego barw. Ale tym razem nie to było najważniejsze. Nie przyglądałem się teraz niezwykle ułożeniu kwiatów. Widziałem to, co widział Adam w poranek swego stworzenia — cud, chwila po chwili, nagej egzystencji.

— Czy to miłe — zapytał ktoś. W tej części eksperymentu wszystkie rozmowy były nagrywane na dyktafon, mogłem więc potem odświeżyć pamięć wypowiedzianych słów.

— Ani miłe, ani nie miłe — odrzekłem. — Po prostu jest. Istigkeit — czy nie tego słowa lubił używać Meister Eckhart?

„Istotowość”. Byt platońskiej filozofii, tyle że Platon, jak się zdaje, popełnił ogromny, groteskowy błąd polegający na oddzieleniu Bytu od stawania się i utożsamieniu go z matematyczną abstrakcją Idei. Nie potrafił nigdy, biedaczysko, zobaczyć wiązań kwiatów rozbłyskujących własnym wewnętrznym światłem i nieledwie uginających się pod presją sensu jakim je obdarzono; nigdy nie potrafiłby dostrzec, że to, co róża, irys i goździk z taką intensywnością oznaczały stanowiło ni mniej, ni więcej to, czym były — ulotność, która była jednak wiecznym życiem, nieustanne znikanie, które było jednocześnie czystym Bytem, wiązką znikomych, niepowtarzalnych istnień poszczególnych, w których dzięki jakiemuś niewypowiedzianemu, a przecież samo przez się zrozumiałemu, paradoksowi dostrzegało się boskie źródło wszelkiego istnienia.

Nadal patrzyłem na kwiaty i zdawało mi się, iż w ich żywym świetle odnajduję jakościowy odpowiednik oddychania — chociaż oddychania bez powrotu do punktu wyjścia, bez periodycznego odpływu, jedynie z powracającym przypływem od piękna do piękna pogłębionego, od głębokiego do jeszcze głębszego sensu. Przyszły mi na myśl takie słowa jak

Łaska i Przemienienie, i to właśnie, między innymi, oznaczały. Mój wzrok przenosił się z róży na goździk, i z pierzastego rozżarzenia na gładkie woluty obdarzonego czuciem ametystu, które tworzyły irys. Widzenie Uszczęśliwiające, Sat-cit-ananda, Istnienie-

Świadomość - Błogość — po raz pierwszy zrozumiałem, nie na poziomie słownym, nie poprzez wstępne aluzje czy z oddalenia, lecz precyzyjnie i całkowicie do czego odnosiły się te cudowne sylaby. I wówczas przypomniałem sobie fragment, na który natrafiłem w jednym z esejów Suzukiego. „Co to jest ciało Dharmy Buddy?” (Ciało Dharmy Buddy to inny sposób określenia Umysłu, Istotowości, Pustki, Bóstwa.) W klasztorze zen pewien gorliwy i zdeorientowany nowicjusz zadaje to pytanie. I z podobnym jak u braci Marx natychmiastowym zdystansowaniem się wobec tematu, Mistrz odpowiada: „Żywopłot w głębi ogrodu.” „Kim zaś, jeśli wolno mi spytać, jest człowiek, który urzeczywistnia w sobie tę prawdę?”, indaguje niepewnie nowicjusz. Groucho uderza go kijem w ramię i odpowiada: „Złotoskórym lwem.”

Przy pierwszej lekturze zdawało mi się to tylko dającym mgliście do myślenia nonsensem.

Teraz było to jasne jak słońce, nieodparte jak system Euklidesa. To oczywiste, że Ciało Dharmy Buddy jest żywopłotem w głębi ogrodu. A zarazem, i w nie mniej oczywisty sposób, było ono tymi kwiatami, było wszystkim co jaźń — czy raczej błogosławiona niejażń uwolniona na chwilę z mojego dławiącego uścisku — zechciała obdarzyć spojrzeniem.

Na przykład, książkami, wypełniającymi szczelnie mój gabinet. Podobnie jak kwiaty, przy każdym moim spojrzeniu rozbłyśkiwały żywszymi barwami, głębszym sensem. Książki czerwone niczym rubiny; książki szmaragdowe; książki oprawne w kremowy jadeit; książki z agatu, akwamarynu. żółtego topazu; książki z lapis lazuli o tak intensywnym, nasyconym wewnętrznym sensem kolorze, że zdawało się, iż za chwilę ulecą z półek, by bardziej natarczywie narzucić się mojej uwadze.

— A co z relacjami przestrzennymi? — pytał eksperymentator, kiedy przypatrywałem się książkom.

Odpowiedź była trudna. To prawda, perspektywa wydawała się jakaś dziwna, a ściany pokoju wydawały się już nie stykać pod kątem prostym. Ale nie te fakty były najważniejsze. Najważniejsze było to, że relacje przestrzenne przestały odgrywać istotne znaczenie, a mój umysł postrzegał świat w kategoriach innych niż przestrzenne. W

normalnych sytuacjach oko stawia sobie takie problemy: Gdzie? — Jak daleko? — Jak coś jest położone w relacji do czegoś innego? Podczas doświadczenia z meskaliną zaimplikowane pytania, na które odpowiada oko są innego rodzaju. Miejsce i odległość przestaje być przedmiotem zainteresowania, Umysł zaczyna postrzegać w kategoriach intensywności egzystencji, głębi sensu, relacji w ramach określonego wzorca. Widziałem książki, ale nie obchodziło mnie ich miejsce w przestrzeni. Zauważyłem natomiast, wręcz wryło mi się to w umysł, że wszystkie rozbłyskiwały żywym światłem i że niektóre z nich promieniowały wyrazistszym blaskiem. W tym kontekście położenie i trzy wymiary nie miały znaczenia. Nie znaczy to, oczywiście, by kategoria przestrzeni uległa zawieszeniu.

Kiedy wstałem i zacząłem przechadzać się po pokoju, czyniłem to całkiem normalnie, nie myśląc położenia obiektów. Przestrzeń nadal istniała, tyle że straciła dominujące znaczenie.

Umysł zajmował się, przede wszystkim, nie miarami i położeniem, lecz istnieniem i sensem.

Obojętności wobec przestrzeni towarzyszyła jeszcze pełniejsza obojętność wobec czasu.

— Zdaje się, że jest go całe mnóstwo — zdobyłem się tylko na taką odpowiedź, kiedy eksperymentator spytał mnie, co sądzę o czasie. Całe mnóstwo, ale ile dokładnie, nie miało najmniejszego znaczenia. Mogłem, oczywiście, spojrzeć na zegarek; ale wiedziałem, że mój zegarek znajduje się w innym wszechświecie. W aktualnym przeżyciu doznawałem, bez przerwy, poczucia nieokreślonego trwania czy — mówiąc inaczej — nieustannej terażniejszości, na którą składała się jedna, ale podlegająca nieustannym przemianom apokalipsa.

Eksperymentator skierował moją uwagę na meble. Na środku pokoju stał

mały stolik na maszynę do pisania; za nim, patrząc z mojego punktu obserwacyjnego, znajdował się wiklinowy fotel, a w głębi biurko. Owe trzy meble tworzyły zawiły wzór linii poziomych, pionowych i przekątnych — wzór tym bardziej interesujący, że nie był interpretowany w kategoriach relacji przestrzennych. Stół, krzesło i biurko tworzyły kompozycję, która przypominała jakieś dzieło Braque’a czy Juana Gris, martwą naturę jawnie odniesioną do świata obiektywnego, chociaż ukazaną bez głębi, bez żadnej próby fotograficznego realizmu. Spoglądałem na meble nie jak utylitarysta, który musi siadać na krzesłach, pisać przy biurkach czy stołach, ani nie jak fotoreporter czy uczony obserwator, lecz jak prawdziwy esteta, którego interesują jedynie formy i ich relacje w zasięgu wzroku albo w przestrzeni obrazu. Ale kiedy się tak przyglądałem, ten czysto estetyczny obraz, wytwór kubistycznego oka, ustąpił miejsca temu, czemu mogę nadać jedynie miano sakramentalnej wizji rzeczywistości. Znalazłem się z powrotem tam, gdzie byłem patrząc na kwiaty —

ponownie w świecie, w którym wszystko rozbłyskiwało Wewnętrznym Światłem i posiadało nieskończone znaczenie. Na przykład, nogi krzesła — coś za cudowna rurkowatość, coś za nadprzyrodzona wypolerowana gładkość! Spędziłem kilka minut — a może kilka stuleci — nie tylko wpatrując się w te bambusowe nogi, co w istocie będąc nimi

— czy też raczej będąc w nich sobą: albo, żeby być jeszcze precyzyjniejszym (bowiem takie byty jak „jaźń” czy „oni” nie uczestniczyły w tym procesie) będąc swoją nie-jaźnią w nie-jaźni krzesła.

Zastanawiając się nad swoim przeżyciem muszę się zgodzić z wybitnym filozofem z Cambridge, dr C. D. Broadem, „że uczynilibyśmy dobrze rozważając poważniej niż dotąd wysuniętą przez Bergsona teorię pamięci i spostrzegania zmysłowego. Sugerował on, że funkcją mózgu, układu nerwowego i organów zmysłowych jest przede wszystkim tworzenie. Każdy człowiek jest w każdym momencie

zdolny pamiętać wszystko, co mu się przydarzyło i spostrzegać wszystko, co się dzieje gdziekolwiek we wszechświecie. Funkcją mózgu oraz układu nerwowego jest chronienie nas przed przytłaczającym, mogącym przyprawić o dezorientację wpływem tej masy w głównej mierze bezużytecznej i nieistotnej wiedzy poprzez wyłączenie większości z tego, co w przeciwnym

razie nieustannie spostrzegalibyśmy i zapamiętywali oraz pozostawienie tylko bardzo małego i szczególnego wycinka, który miałby praktyczne znaczenie.” Zgodnie z tą teorią, każdy z nas jest potencjalnie Wolnym Umysłem. Ale w tym stopniu, w jakim jesteśmy zwierzętami, naszym celem jest przetrwanie za każdą cenę. Aby umożliwić przetrwanie biologiczne, Wolny Umysł musi ulec transformacji za pośrednictwem redukującego zaworu mózgu i układu nerwowego. Skutkiem tej redukcji jest ledwie sączący się bezwartościowy strumyczek takiej świadomości, która pozwala zachować życie na powierzchni danej nam planety. W celu formułowania i wyrażania treści zredukowanej świadomości, człowiek wynalazł oraz nieskończenie rozbudował owe systemy symboli i zawarte w nich filozofie, które nazywamy językiem. Każda jednostka jest zarazem beneficjentem i ofiarą tradycji językowej, w jakiej się rodzi - beneficjentem o tyle, o ile język otwiera dostęp do nagromadzonych zapisów doświadczeń innych ludzi, ofiarą o tyle, o ile utwierdza ją w przekonaniu, że zredukowana świadomość jest jedyną świadomością

— i zniekształca jej poczucie rzeczywistości, tak iż jest aż nazbyt skłonna brać swe koncepcje za dane, „swe słowa za rzeczywiste zjawiska. To, co w języku religijnym nazywamy „tym światem”, jest wszechświatem zredukowanej świadomości, wyrażanej oraz, nie da się tego ukryć, spetryfikowanej przez język. Różne „inne światy”, z którymi ludzie, co prawda w niekonsekwentny sposób, nawiązują kontakt to różnorodne elementy pełnej świadomości przynależnej Wolnemu Umysłowi. Większość ludzi, przez większą część czasu dysponuje jedynie wiedzą o Tym, co przedostaje się przez redukujący zawór i jest konsekrowane jako autentyczna rzeczywistość Przez lokalny język. Niektórzy jednak ludzie zdają się rodzić z takiego rodzaju układem, który pozwala okpić redukujący zawór; U innych dochodzi do powstawania okresowych układów tego rodzaju, czy to spontanicznie, czy w wyniku świadomych „ćwiczeń duchowych” hipnozy albo środków narkotycznych. Przez te stałe lub okresowe układy nie przechodzi spostrzeganie

„wszystkiego, co się dzieje gdziekolwiek we wszechświecie” (układ bowiem nie znosi działania redukującego zaworu, nadal filtrującego pełną treść Wolnego Umysłu),, niemniej przepływa spostrzeganie czegoś dodatkowego, przede wszystkim zaś czegoś odmiennego od starannie wybranego ze

względów utylitarnych materiału, który nasze zawężone, jednostkowe umysły biorą za pełny lub co najmniej wystarczający obraz rzeczywistości.

Mózg posiada pewną liczbę układów enzymatycznych, które koordynują jego funkcjonowanie. Niektóre z tych enzymów regulują dostarczanie glukozy do komórek mózgowych. Meskalina blokuje produkcję tych enzymów i w ten sposób obniża poziom glukozy dostępnej organowi, który nieustannie potrzebuje cukru. Co się dzieje, kiedy meskalina redukuje normalną dostawę cukru do mózgu? Poddano obserwacji zbyt małą liczbę przypadków, a więc nie można udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Ale to, co stało się z większością tych nielicznych osób, które zażyły meskalinę w warunkach eksperymentalnych, można streścić następująco.

(1) Zdolność zapamiętywania i „normalnego myślenia”, o ile w ogóle jest ograniczona, to tylko w niewielkim stopniu. (Przesłuchując , nagrania moich rozmów pod wpływem narkotyku, nie stwierdziłem, żebym był wówczas chociaż trochę głębszy niż zwykle.)

(2) Wrażenia wzrokowe ulegają znacznej intensyfikacji, a oko częściowo odnajduje w sobie na nowo percepcyjną niewinność dzieciństwa, kiedy aparat sensoryczny nie był

bezpośrednio i automatycznie podporządkowany myśleniu pojęciowemu. Zmniejsza się zainteresowanie przestrzenią, a zainteresowanie czasem spada niemal do zera.

(3) Chociaż intelekt pozostaje nie naruszony, spostrzeganie zaś ulega ogromnemu wydoskonaleniu, wola boleśnie odczuwa istotną zmianę na gorsze. Osoba zażywająca meskalinę nie widzi powodu, by zająć się „czymkolwiek konkretnym oraz traktuje większość powodów dla których, w normalnych warunkach, godziła się podejmować działanie i cierpieć jako wysoce nieinteresując. Nie obchodzą ją one, z tej prostej przyczyny, że ma ważniejsze sprawy na głowie.

(4)

Te ważniejsze sprawy mogą być doświadczane (tak jak ja ich doświadczałem) jako

„rozgrywające się na zewnątrz” lub „rozgrywające się w człowieku”, albo też jako rozgrywające się w obu światach, wewnętrznym i zewnętrznym, czy to jednocześnie, czy sukcesywnie. Dla wszystkich osób, spośród zażywających meskalinę, które mają zdrową wątrobę i spokojny umysł jest oczywiste to, że są sprawy ważniejsze. Te skutki meskaliny są takie, jakich można by oczekiwać po stosowaniu środka mającego moc obniżania wydolności redukujące zaworu mózgu. Kiedy mózg odczuwa brak cukru, niedożywiona jaźń słabnie, nie jest w stanie podejmować koniecznych zadań i traci wszelkie zainteresowanie relacjami przestrzennymi i czasowymi, które mają tak duże znaczenie dla organizmu nastawionego na radzenie sobie w świecie. Gdy Wolny Umysł przesącza się przez nieszczelny już zawór, zaczynają się pojawiać rozmaite biologicznie bezużyteczne zjawiska. Czasem występują przypadki spostrzegania pozazmysłowego. Inni ludzie odkrywają świat wizyjnego piękna. Jeszcze innym Wolny Umysł odsłoni wspaniałość, nieskończoną wartość i sens nagiej egzystencji danego, nie podlegającego konceptualizacji zdarzenia. W końcowej fazie wyzbycia się ego pojawia się „niejasna wiedza”, że wszystko jest we wszystkim, że wszystko jest w rzeczywistości każdym poszczególnym istnieniem.

O ile mi wiadomo, tak dalece może się skończony umysł zbliżyć do „spostregania wszystkiego, co ma miejsce gdziekolwiek we wszechświecie”.

W tym kontekście jakże znacząca jest ogromna intensyfikacja spostrzegania barw dokonująca się pod wpływem meskaliny! Dla niektórych zwierząt bardzo istotna jest, z biologicznego punktu widzenia, zdolność rozróżniania określonych barw. Ale poza granicami użytecznego spektrum, większość stworzeń jest całkowicie ślepa na kolory.

Na przykład pszczoły poświęcają większość czasu na „deflorowanie świeżych dziewic wiosny”; ale jak wykazał von Frisch, potrafią rozpoznawać tylko nieliczne kolory. Wysoce rozwinięte wyczucie barw u człowieka jest biologicznym luksusem, niezwykle cennym dla niego jako istoty obdarzonej duchem i intelektem, chociaż zbędnym dla jego przetrwania jako zwierzęcia. Sądząc na podstawie przymiotników jakie Homer wkłada w ich usta, bohaterowie wojny trojańskiej z ledwością tylko przewyższali pszczoły w swej zdolności rozróżniania kolorów. Przynajmniej pod tym względem

postępy, jakie poczyniła ludzkość są olbrzymie.

Meskalina nadaje wszystkim barwom większą moc i sprawia, iż odbiorca jest zdolny uświadomoć sobie niezliczone różnice odcieni na które, zwykle, pozostaje całkiem ślepy.

Wydaje się, że dla Wolnego

Umysłu tak zwane wtórne cechy rzeczy są pierwotne. W przeciwieństwie do Locke'a Wolny umysł mniema, że kolory są ważniejsze, bardziej godne uwagi niż masa, położenie i wymiary. Niczym ludzie zażywający meskalinę, wielu mistyków spostrzega nadnaturalnie jaskrawe barwy, nie tylko okiem wewnętrznym, lecz również w otaczającym ich obiektywnym świetle. Podobnych świadectw dostarczają osoby obdarzone zdolnościami parapsychicznymi i ludzie dysponujący umiejętnościami okultystycznymi. Istnieją media, dla których krótkie objawienie człowieka zażywającego meskalinę jest, w ciągu długich okresów, kwestią codziennego, nieustannego doświadczenia.

Od tej długiej, aczkolwiek niezbędnej dygresji w dziedzinę teorii możemy teraz powrócić do cudowności samych faktów — czterech bambusowych nóg krzesła na środku pokoju.

Niczym żonkile Words-wortha, dostarczyły one różnorodnego bogactwa — bezcennego daru nowego, bezpośredniego wglądu w samą Istotę Rzeczy, wraz ze skromniejszym skarbem zrozumienia, szczególnie w dziedzinie sztuki.

Róża jest różą. Ale te nogi krzesła były nogami krzesła, a zarazem świętym Michałem i wszystkimi aniołami. Cztery czy pięć dni po wydarzeniu, kiedy zanikały skutki braku cukru w mózgu, zabrano mnie na małą przejażdżkę po mieście, obejmującą, tuż przed zachodem słońca, wizytę w sklepie zwanym skromnie Największym Supermarketem Świata. Na tyłach N.S.Ś., pośród zabawek, kart z pozdrowieniami i komiksów stał, o dziwo, rząd albumów poświęconych sztuce. Wziąłem pierwszy tom, jaki wpadł mi w rękę. Był to album van Gogha, książka zaś otworzyła się na Krześle — tym zdumiewającym portrecie Ding an Sich, które obłąkany malarz ujrzał w pełnym adoracji przerażeniu i spróbował przenieść na płótno. Było to jednak

zadanie, które okazało się ponad siły nawet takiego geniusza.

Krzesło, które ujrzał Van Gogh było w swej istocie niewątpliwie takie samo jak krzesło ujrzone przeze mnie. Ale, chociaż nieporównanie bardziej rzeczywiste niż krzesło normalnego spostrzegania, krzesło na tym obrazie było jedynie niezwykle ekspresyjnym symbolem faktu. Tam faktem była manifestacja Istotowości; to był jedynie jej emblemat.

Takie symbole są źródłem prawdziwej wiedzy o Istocie Rzeczy, taka zaś prawdziwa wiedza może służyć do przysposobienia umysłu, traktującego owe symbole jako materiał do swych bezpośrednich wglądów. Ale to

wszystko. Pomimo swej ekspresyjności, symbole nigdy nie są rzeczami, które odwzorowują.

\W tym kontekście byłoby interesujące przeprowadzić studium dzieł sztuki znanych wielkim znawcom Istotowości. Jakie obrazy oglądał Eckhart? Jakie rzeźby i malowidła odgrywały rolę w w doświadczeniu religijnym świętego Jana od Krzyża, Hakuina, Hui-nenga czy Williama Law? Nie jestem w stanie odpowiedzieć na te pytania; ale mam silne podejrzenia, że większość wielkich znawców Istotowości poświęcała bardzo niewiele uwagi sztuce — niektórzy nie chcieli z nią mieć nic do czynienia, inni zadowalali się tym, co krytyczne oko uznałoby za dzieła drugorzędne czy dziesięciorzędne. (Dla osoby, której przemieniony i przemieniający umysł potrafi dostrzec Wszystko w każdym poszczególnym istnieniu,

pierwszorzędność czy dziesięciorzędność nawet obrazu religijnego jest doskonale obojętna.) Sztuka, jak sądzę, jest przeznaczona jedynie dla początkujących czy dla tych, którzy zdecydowali się w ślepej uliczce i postanowili się zadowalać ersatzem Istotowości, symbolami, a nie tym, co

odwzorowują, elegancko sporządzonym przepisem, a nie rzeczywistym obiadem.

Odłożyłem van Gogha na półkę i wziąłem stojący obok tom. Był

to Botticelliego. Przekartkowałem go. Narodziny Wenus — ten obraz nigdy nie należał do moich ulubionych. Mars i Wenus, to piękno z taką

namietnością odsłonięte przez biednego Ruskina u szczytu jego długotrwałej seksualnej tragedii. Cudownie bogate i misterne Oszczęstwo Apellesa. I nieco mniej znany, nie najlepszy zresztą obraz, Judyta. Przykuł on moją uwagę, patrzyłem zafascynowany, nie na bladą neurotyczną bohaterkę czy jej sługę, nie na pokrytą bujnymi włosami głowę ofiary czy wiosenny pejzaż w tle, ale na purpurowy jedwab

fałdzistego stanika Judyty i długich, rozwianych przez wiatr sukni.

Widziałem to już przedtem — widziałem tego ranka, w przerwie między oglądaniem kwiatów i mebli, gdy spojrzałem przypadkowo w dół i zacząłem przyglądać się namietnie i świadomie swoim skrzyżowanym nogom. Te fałdy spodni — coś za labirynt nieskończenie znaczącej różnorodności! I faktura szarej flaneli — jakże bogata, obdarzona jakże głębokim i

tajemniczym przepychem! Napotkałem je Ponownie — w obrazie Botticelliego.

Cywilizowani ludzie noszą ubrania, nie można więc

portretować, mitologicznej czy historycznej opowieści bez przedstawienia fałdzistych tkanin. Lecz chociaż krawiectwo może zdać sprawę z ich pochodzenia, nie jest w stanie nigdy wyjaśnić bujnego rozkwitu tematu draperii jako naczelnego tematu wszystkich sztuk plastycznych. Artyści, to oczywiste, zawsze kochali draperię dla niej samej, czy też raczej dla własnych potrzeb. Kiedy maluje się czy rzeźbi draperię, maluje lub rzeźbi formy, które praktycznie rzecz biorąc są niefiguracywne — pozbawione uwarunkowań formy, którym lubią się oddawać artyści nawet w najbardziej naturalistycznej tradycji. W

przeciętnej Madonnie czy Apostole czysto ludzki, w pełni figuracywny element stanowi mniej więcej dziesięć procent całości. Reszta to mnóstwo różnobarwnych wariacji na niewyczerpany temat zmiętej wełny czy lnu. I tych niefiguratwnych dziewięć dziesiątych Madonny czy Apostoła bywa często równie istotne jakościowo, co ilościowo. Bardzo często nadaje ton całemu dziełu sztuki, określa klucz do przedstawienia całego tematu, wyraża nastrój, temperament i postawę artysty wobec życia. W

gładkich powierzchniach, szerokich, nie skręconych fałdach draperii Piero wyraża się stoicki spokój. Rozdarty między faktem a chęcią, między cynizmem a idealizmem, Berlini łagodzi niemal karykaturalną iluzję rzeczywistości, jaką wyrażają jego twarze, ogromnymi krawieckimi abstrakcjami, które są ucieleśnieniem, w kamieniu czy marmurze,

nieprzemijających banałów retoryki — heroizmu, świętości, wzniosłości, do których nieustannie, po większej części na próżno, dąży ludzkość.

Przykładem mogą tu być też suknie i opończe El Greca niepokojąco przypominające trzewia; ostre, poskręcane, płomieniste fałdy, w które przybiera swoje postaci Cosimo Tura: u tego pierwszego tradycyjna duchowość załamuje się w bezmiennnej fizjologicznej tęsknocie; u drugiego, snuje się bolesne poczucie właściwej światu dziwności i wrogości. Albo też proszę wziąć pod uwagę Watteau; jego mężczyźni i kobiety grają na lutniach, szykują się na bale i arlekinady, na aksamitnych trawnikach, pod szlachetnymi drzewami zaokrętowują się do podróży na Cyterę z marzeń każdego kochanka; ich głęboka melancholia i ostro krytykowana, rozdzierająca wrażliwość ich twórcy znajdują wyraz nie w zapisie działań, nie w gestach i twarzach portretowanych, ale w reliefie i fakturze ich sukni z tafty, ich atłasowych pelerynek i kubraków. Nie ma tu ani centymetra gładkiej powierzchni, ani chwili spokoju czy ufności, jedynie jedwabna dżungla niezliczonych maleńkich fałdek i zmarszczeń, poddawanych nieustającej modulacji — niepewność wewnętrzna oddana z doskonałą pewnością dłoni

mistrza—odcienia przechodzącego w odcień, jednego

nieokreślonego

koloru przechodzącego w inny. W życiu człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. W sztukach plastycznych strzela temat; kule nosi w ostatecznym

rozrachunku temperament artysty, a następnie (przynajmniej w malarstwie portretowym, historycznym i rodzajowym) rzeźbiona czy malowana draperia. Te dwie rzeczy decydują o tym, że fete galante porusza do łez że w ukrzyżowaniu tkwi spokój przechodzący w radość, że stygmatyzacja ma w sobie jakiś powab seksualny, że wygląd cudu kobiecej głupoty (mam na myśli niezrównaną Mme Moitessier Ingresa) daje wyraz najbardziej

rygorystycznemu, bezkompromisowemu

intelektualizmowi.

Ale to nie wszystko. Draperię, co stwierdziłem dopiero teraz, są czymś o wiele więcej niż pretekstami do wprowadzenia niefiguratywnych form do naturalistycznego malarstwa i rzeźby.

To, co pozostali widzą tylko pod wpływem meskaliny, artysta dzięki wrodzonym zdolnościom widzi cały czas. Jego

spostrzeganie nie ogranicza się do tego, co biologicznie czy społecznie użyteczne. Częstka wiedzy należącej do Wolnego Umysłu przesącza się obok redukującego zaworu mózgu oraz ego i dociera do jego świadomości. Wiedza ta dotyczy istotowego sensu wszystkiego, co istnieje. Dla artysty, tak jak dla zażywającego meskalinę, draperię są żywymi hieroglifami, które w szczególnie ekspresywny sposób wyrażają niezgłębioną tajemnicę czystego istnienia. Bardziej nawet niż krzesło, chociaż chyba w mniejszym stopniu niż te w pełni nadprzyrodzone kwiaty, fałdy moich szarych, flanelowych spodni były nasycone

„istotowością”. Nie potrafię powiedzieć, czemu zawdzięczały one swój uprzywilejowany status. Może temu, że formy pofałdowanej draperii są tak dziwne i dramatyczne, że przyciągają oko i w ten sposób narzucają naszej uwadze cudowny fakt czystego istnienia? Któż to wie? Mniej ważne jest uwarunkowanie przeżycia niż samo przeżycie. Medytując nad sukniami Judyty, tu, w Największym Supermarkecie Świata wiedziałem, że Botticelli — i nie jeden Botticelli, lecz wielu, wielu innych — patrzyło na te draperię tymi samymi przemienionymi i przemieniającymi oczyma, jakie dane były i mnie tego ranka.

Dojrzeli oni Istigkeit, Pełnię i Nieskończoność pofałdowanych szat i uczynili wszystko, co w ich mocy, by oddać je na płótnie czy w kamieniu. Z konieczności, oczywiście, bez powodzenia. Albowiem chwała i cud czystego istnienia należą do innego porządku, i nawet sztuka najwyższego lotu nie jest ich w stanie wyrazić. Ale w sukniach Judyty mogłem dostrzec dokładnie to, co gdybym był genialnym malarzem, dostrzegłbym w moich starych spodniach z szarej flaneli. To niewiele, niebo mi świadkiem, w porównaniu z

rzeczywistością; ale dość, by zadziwić całe pokolenia widzów, dość, by pozwolić im zrozumieć przynajmniej część prawdziwego sensu tego, co w naszym żenującym imbecyлизmie nazywamy „zwykłymi rzeczami”

i porzucamy na korzyść telewizji.

„Oto jak powinno się widzieć”, powtarzałem patrząc na swoje spodnie lub spoglądając na przypominające klejnoty książki na półkach, na nogi mojego nieskończonego van Goghowskiego krzesła. „Oto jak powinno się widzieć, oto jakimi są naprawdę rzeczy.” A jednak pojawiły się

zastrzeżenia. Gdyby bowiem człowiek zawsze postrzegał w taki sposób, nie chciałby nigdy nic innego robić. Chciałby tylko patrzeć, być wyłącznie boską nie-jaźnią kwiatu, książki, krzesła, flaneli. To by mu wystarczało. Ale w takim razie, co z innymi ludźmi? Co ze stosunkami międzyludzkimi? W nagraniu rozmów z tego poranka odnajduję nieustannie powracające pytanie: „Co ze stosunkami międzyludzkimi?” Jak człowiek miałby pogodzić bezczasowy błogostan swego widzenia z rozłożonymi w czasie obowiązkami robienia i odczuwania tego, do czego jesteśmy zobligowani? „Człowiek powinien móc”, powiedziałem, „postrzegać te spodnie jako nieskończone ważne, a ludzi jako jeszcze ważniejszych.” Powinien — chociaż w praktyce wydawało się to niewykonalne. Owo uczestnictwo w jawnej chwale rzeczy nie zostawiało miejsca, jeśli tak można rzec, na zwykłe, niezbędne troski ludzkiej egzystencji, przede wszystkim zaś na troski dotyczące ludzi.

Albowiem ludzie sprowadzają się do jaźni, a — przynajmniej pod jednym względem — byłem teraz nie-jaźnią, postrzegającą jednocześnie i będącą nie-jaźnią otaczających mnie rzeczy. Dla tej nowo narodzonej nie-jaźni, zachowanie, wygląd jaźni, sama myśl o jaźni, którą chwilowo przestała być, oraz o innych jaźniach, jej ówczesnych towarzyszkach, wydawała się nie tyle

niesmaczna (niesmak bowiem nie należał do kategorii, którymi myślałem), ile w dużej mierze nieistotna. Nakłoniony przez eksperymentatora do przeanalizowania i zdania sprawy z tego, co robię (z jaką tęsknotą marzyłem, by pozostawiono mnie w spokoju z Wiecznością w kwiecie, Nieskończonością w czterech nogach krzesła i Absolutem w fałdach pary flanelowych spodni!) zdałem sobie sprawę, że z rozmysłem unikam wzroku przebywających ze mną w pokoju osób, rozmyślnie cofam się przed zbytnim uświadomieniem sobie ich obecności. Jedną z tych osób była moja żona,

człowiek, którego szanowałem i bardzo lubiłem; ale oboje należeli do świata, z którego na pewien czas wyzwoliła mnie meskalina, do świata jaźni, czasu, ocen moralnych i względów praktycznych, do świata (a o tym właśnie aspekcie ludzkiego życia pragnąłem przede wszystkim zapomnieć) dochodzenia swoich praw, pewności siebie

fetyszyzowanych słów i pojęć, którym oddawano bałwochwalczą cześć.

W tej fazie przedsięwzięcia podano mi dużą kolorową reprodukcję dobrze znanego autoportretu Cezanne’a — głowa i ramiona mężczyzny w dużym słomkowym kapeluszu, o czerwonych policzkach, czerwonych ustach, z sumiastym wąsem i ciemnymi nieprzyjazydnymi oczyma. To wspaniały obraz; ale teraz widziałem go nie jako obraz.

Albowiem głowa nagle przybrała trzeci wymiar i ożyła jak mały przypominający duszka człowieczek wyglądający przez okno ze stronicy przed moimi oczyma. Zacząłem się śmiać.

A kiedy spytali mnie dlaczego, zacząłem powtarzać: — Co za pretensje! Za kogo on się, u licha, ma? — Pytanie to nie było adresowane w szczególności do Cezanne’a, lecz do całej ludzkości. Za kogo oni się mieli?

— To mi przypomina Arnolda Benetta w Dolomitach — powiedziałem, przypominając sobie nagle szczęśliwym trafem scenę uwiecznioną na zdjęciu wykonanym cztery lub pięć lat przed śmiercią A. B., kiedy to spaceruje zimową drogą w Cortina d’Ampezzo. Wokół

niego leżał dziewiczy śnieg; w tle wznosiły się iście gotyckie czerwone skały. Był tam też kochany, dobry, nieszczęsny A. B. świadomie małpujący rolę swojego ulubionego bohatera literackiego, siebie, on — kłown we własnej osobie. Szedł przed siebie niepewnym krokiem w jaskrawym alpejskim słońcu, z kciukami założonymi za pachy żółtej kamizelki wybrzuszonej się, nieco poniżej, w pełen wdzięku łuk wykusza w Brighton z okresu regencji Jerzego IV — z głową odrzuconą w tył, jakby chciał jaskając się wystrzelić niczym haubica jakąś uwagę w błękitną kopułę nieba. Zapomniałem, co wówczas w rzeczywistości Powiedział; ale cała jego postawa, wygląd i sposób bycia zdawały się wprost krzyczeć:

„Wcale nie jestem gorszy od tych cholernych gór”. w pewien sposób był on, oczywiście, lepszy; ale nie w sposób, o czym dobrze wiedział, jaki lubił sobie wyobrażać jego ulubiony bohater literacki.

Z sukcesem (cokolwiek to znaczy) czy bez sukcesu wszyscy małpujemy rolę naszego ulubionego bohatera literackiego. I fakt, niemal nieskończenie nieprawdopodobny fakt, bycia rzeczywistym Cezannem nie czynił żadnej różnicy. Albowiem wielkiej miary artysta, z małym przewodem podłączonym do Wolnego Umysłu, omijającym zawór mózgu i filtr ego był również, w podobnie autentyczny sposób, tym wąsatym duszkiem z nieprzyjnymi oczyma.

W poszukiwaniu ukojenia zwróciłem się znów ku fałdom moich spodni. — Oto jak powinno się widzieć — powtórzyłem po raz kolejny. I mógłbym dodać: — Oto rzeczy, na jakie powinno się patrzeć. — Rzeczy pozbawione pretensjonalności, samowystarczalne w swojej istotowości, nie grające żadnej roli, nie próbujące, w szaleńczy sposób, dostąpić samotności, w izolacji od Ciała Dharmy, w lucyferycznym buncie wobec łaski Bożej.

— Najbliższym odpowiednikiem — powiedziałem — byłby tu Yerneer. — Albowiem ten tajemniczy artysta był potrójnie obdarowany — wizją, która postrzega Ciało Dharmy jako żywopłot w głębi ogrodu, talentem, by oddać tyle z wizji, na ile pozwalają ograniczenia ludzkich możliwości i roztropnością, która kazała mu się ograniczyć w swych obrazach do bardziej dających się oddać aspektów rzeczywistości; chociaż bowiem Yerneer przedstawiał ludzi, był zawsze malarzem martwej natury. Cezanne, który mówił swoim modelkom, by starały się wyglądać jak jabłka, starał się malować obrazy w tym samym duchu. Ale jego kobiety przypominające renetę przywołują raczej na myśl idee platońskie niż Ciało Dharmy żywopłotu. Są Wiecznością i Nieskończonością dostrzegalną nie w piasku czy w kwiecie, ale w abstrakcjach jakiejś wyższej geometrii; Yerneer nigdy nie prosił swych dziewcząt, by wyglądały jak jabłka. Przeciwnie, zależało mu na tym, żeby były jak najbardziej dziewczynami — chociaż zawsze z zastrzeżeniem, by nie zachowywały się po dziewczęcemu. Mogły siedzieć lub spokojnie stać, ale nie mogły chichotać ani ujawniać własnego zażenowania, ani modlić się czy wzdychać do nieobecnych kochanków, nigdy też plotkować, nigdy spoglądać zazdrośnie na dzieci innych kobiet,

nigdy flirtować, kochać, nienawidzić, czy pracować. W akcie czynienia któregoś z wymienionych rzeczy bez wątpienia stałyby się bardziej sobą, ale z tego samego powodu przestałyby ukazywać swoją boską, pierwotną nie-jaźń. Mówiąc słowami Blake'a, drzwi percepcji Vermeera były tylko częściowo oczyszczone. Pojedyncze skrzydło drzwi było niemal doskonale przezroczyste; cała reszta tkwiła w błocie. Pierwotną nie-jaźń dało się dostrzec bardzo wyraźnie w rzeczach i istotach żywych po obu stronach dobra i zła. U ludzi było to dostrzegalne tylko wtedy, gdy wypoczywali, ze spokojnym umysłem, nieruchomym ciałem. W tych warunkach Vermeer potrafił dostrzec Istotowość w całym jej niebiańskim pięknie — potrafił dostrzec i, w jakiejś drobnej części, oddać w subtelnej i przepysznej martwej naturze. Vermeer jest niewątpliwie najwybitniejszym malarzem ludzkich martwych natur. Ale byli też inni, na przykład, francuscy współcześni Vermeera, bracia Le Nain. Zamierzali, jak mi się zdaje, być malarzami rodzajowymi; ale w rzeczywistości dali nam serię ludzkich martwych natur, w których ich oczyszczona percepcja nieskończonego sensu wszystkich rzeczy jest wyrażona nie, jak u Vermeera, poprzez subtelne wzbogacenie koloru i faktury, lecz przez wzmożoną jasność, obsesyjną wyrazistość formy, w marach surowej, niemal monochromatycznej tonacji kolorystycznej. W naszych czasach mieliśmy Vuillarda, malarza, który w swych najszcześniejszych okresach malował niezapomniane wspaniałe obrazy Ciała Dharmy ukazujące się w mieszczańskiej sypialni, Absolutu płonącego pośród rodziny maklera popijającej herbatę w podmiejskim ogrodzie.

Ce qui fait que l'ancien bandagiste renie

Le comptoir dont le faste allechait les passants, T ' C'est son jardin
d'Auteuil, ou, veufs de tout encens,

Les Zinnias oni l'air d'être en tble vernie.

Dla Laurenta Taillade widok ten był jedynie wulgarny. Ale jeśli emerytowany kupiec towarami gumowymi siedział dostatecznie nieruchomo, Yuillard dostrzegał w nim wyłącznie Ciało Dharmy, malował, w cyniach, basenie dla złotych rybek, mauretańskiej wieżycze willi i chińskich lampionach kącik ogrodu rajskiego przed upadkiem.

Tymczasem jednak, moje pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Jak można

było pogodzić tę oczyszczoną percepcję z właściwą troską o stosunki międzyludzkie, z niezbędnymi zajęciami i obowiązkami, nie wspominając już o dobroczynności i praktycznych przejawach współczucia? Stary jak świat spór między aktywistami a kontemplatykami znów powracał — odnawiał się, w moim przypadku, z niezwykłą ostrością. Do tego bowiem ranka znałem kontemplację jedynie w jej skromniejszych, bardziej zwyczajnych formach — jako myślenie dyskursywne; jako ekstatyczne oddanie się poezji, malarstwu czy muzyce; jako cierpliwe oczekiwanie na owe natchnienia, bez których nawet najbardziej przyziemny pisarz nie może nic osiągnąć; jako okazjonalne wglądy w naturę, odnajdujące

„coś, co napełniło się nieskończenie głębiej” Wordswortha; jako systematyczne milczenie prowadzące, czasem, do przeblysków „nieznanej wiedzy”. Ale teraz poznałem kontemplację w jej szczytowych przejawach. W jej szczytowych przejawach, chociaż wciąż jeszcze nie w jej pełni. Albowiem w swojej pełni droga Marii obejmuje drogę Marty i podnosi ją, jeśli można tak rzec, do swej wyższej mocy. Meskalina otwiera drogę Marii, ale zamyka drzwi przed drogą Marty. Daje dostęp do kontemplacji

— ale do kontemplacji, która jest nie do pogodzenia z działaniem, czy nawet z wolą działania, samą myślą o działaniu. W przerwach pomiędzy doznawanymi przez siebie objawieniami osoba zażywająca meskalinę zdaje się odczuwać, że chociaż w pewien sposób wszystko jest w cudowny sposób tak jak powinno być, w inny sposób coś jest nie tak. Dręczy ją właściwie ten sam problem co kwietystę, arhata, a — na innym poziomie

— pejzażystę i malarza ludzkich martwych natur. Meskalina nie potrafi w żaden sposób rozwiązać tego problemu; może go tylko postawić, apokaliptycznie, przed tymi, którzy się z nim jeszcze nie zetknęli. Pełne i ostateczne rozwiązanie mogą odnaleźć tylko ci, którzy są gotowi wytworzyć właściwy rodzaj światopoglądu poprzez właściwy rodzaj zachowania i właściwy rodzaj stałej, niewymuszonej uwagi. Nad kwietystą góruje aktywny kontemplatyk, święty, człowiek, który podług wyrażenia Eckharta jest gotów zejść z siódmego nieba, by podać kubek wody swemu choremu bratu. Nad arhatem, wycofującym się ze świata zjawisk w transcendentalną nirwanę, stoi Bodhisattwa, dla którego Istotowość i świat uwarunkowań są jednym, i dla którego nieograniczonego współczucia każde z tych uwarunkowań jest

okazją nie tylko dla najbardziej praktycznej dobroczynności. Natomiast w kosmosie sztuki, nad Vermeerem i innymi malarzami ludzkich martwych natur, nad mistrzami chińskiego i japońskiego malarstwa pejzażowego, nad Constablem i Turnerem, nad Sisleyem, Seuratem i Cezannem góruje wszechobejmująca sztuka Rembrandta. Są to wielkie nazwiska, niedostępne sławy. W moim przypadku, w ten pamiętny poranek majowy, mogłem być tylko wdzięczny za przeżycie, które ukazało mi, bardziej wyraźnie niż dane mi było dotąd dostrzec, prawdziwą naturę wyzwania i w pełni wyzwalającej odpowiedzi.

Proszę mi pozwolić dodać, nim odejdę od tego tematu, że nie ma żadnej odmiany kontemplacji, nawet najbardziej kwietystycznej, która byłaby pozbawiona wartości etycznych. Przynajmniej połowa całej moralności jest negatywna i polega na unikaniu wyrządzania krzywdy. Modlitwa Ojciec nasz liczy nieco mniej niż pięćdziesiąt słów, a sześć spośród nich to prośby do Boga, by oddalił od nas wszelkie pokusy. Jednostronny kontemplatyk nie robi wielu rzeczy, które powinien zrobić; ale by to zrekompensować, powstrzymuje się od robienia wielu rzeczy, których nie powinien robić. Suma zła, jak zauważył Pascal, bardzo by się zmniejszyła, gdyby ludzie potrafili siedzieć spokojnie w swojej izbie. Kontemplatyk, którego percepcja uległa oczyszczeniu nie musi siedzieć w swojej izbie. Może zajmować się swoimi sprawami, w pełni usatysfakcjonowany tym, iż postrzega siebie jako część boskiego Porządku Rzeczy i jest nią jednocześnie, tak iż nigdy nie doznaje pokusy oddawania się temu, co Traherne określił jako „brudne sztuczki tego świata”. Kiedy czujemy się jedynymi dziedzicami wszechświata, kiedy „morze szumi w naszych żyłach... a gwiazdy są naszymi klejnotami”, kiedy wszystkie rzeczy postrzegamy jako nieskończone i święte, jaki motyw może nas skłonić do pożądlivosti czy pewności siebie, do poszukiwania władzy czy posępnych form przyjemności? Nie do pomyślenia, by kontemplatycy stali się szulerami, rajfurami czy pijakami; z reguły nie głoszą nietolerancji ani nie robią wojny; nie odczuwają potrzeby rabowania, oszukiwania czy gnębienia ‘

ubogich. Do tych istotnych cnót negatywnych możemy dodać jeszcze jedną, która chociaż trudno definiowalna, jest ważna i pozytywna. Arhat i kwietysta nie mogą praktykować kontemplacji w jej pełni; ale jeśli w ogóle ją praktykują, mogą powrócić z oświecającymi doniesieniami o innej,

transcendentnej krainie umysłu; a jeśli praktykują ją wysokim stopniu, mogą się stać kanałami, przez które jakiś dobroczynny fluid przepłynie z owej innej krainy w świat chronicznie go spragnionych ciemnych jaźni. Tymczasem, na prośbę eksperymentatora, przeniosłem uwagę z portretów Cezanne’a na to, co działo się po zamknięciu oczu w mojej głowie. Tym razem pejzaż wewnętrzny był zadziwiająco nieobiecujący. Pole widzenia było wypełnione jaskrawo kolorowymi, nieustannie zmieniającymi się strukturami, które wydawały się być zrobione z plastiku lub lakierowanej cyny.

— Tandetne — skomentowałem. — Banalne. Jak rzeczy w sklepie z tanioczą.

Cała ta tandeta wypełniała zamknięty, przepełniony wszechświat.

— Zupełnie, jakby się było pod pokładem na statku — powiedziałem.

— Na tandetnym stateczku.

Kiedy tak patrzyłem, stało się oczywiste, że ten tandetny stateczek wiązał się jakoś z ludzkimi aspiracjami. To wnętrze tandetnego stateczku, w którym się dusiłem, było moją jaźnią; te efektowne mobile z cyny i plastiku były moim osobistym wkładem w dzieło wszechświata.

Uznałem tę lekcję za zbawienną, niemniej ubolewałem, że udzielono mi jej w tym momencie i w tej formie. Z reguły człowiek zażywający meskalinę odkrywa świat wewnętrzny jako oczywisty punkt odniesienia, jako w oczywisty sposób nieskończony i święty, jako ten przemieniony świat zewnętrzny, który ujrzałem z otwartymi oczyma. Ale mój przypadek był inny. Meskalina dała mi czasowo zdolność postrzegania różnych rzeczy przy zamkniętych oczach; ale nie potrafiła objawić, czy też przy tej akurat okazji nie objawiła, pejzażu wewnętrznego choćby odległe zbliżonego do moich kwiatów, krzesła czy flanelowych spodni „na zewnątrz”. To, co pozwoliła mi ujrzeć, wewnątrz, to nie było Ciało Dharmy w obrazach, ale mój własny umysł; nie archetypowa Istotowość, lecz układ symboli — innymi słowy, chałupniczy substytut Istotowości.

Meskalina przemienia większość ludzi posiadających wyobraźnię wzrokową w wizjonerów.

Niektórzy z nich — a jest ich zapewne więcej niż się na ogół przypuszcza — nie potrzebują przemiany; cały czas są wizjonerami. Rodzaj umysłowości, do którego przynależał Blake jest dosyć szeroko rozpowszechniony nawet w miejsko-przemysłowych społeczeństwach doby obecnej. Wyjątkowość poety-artysty nie polega na tym, że (by zacytować jego Descriptive Catalogue) dane mu było rzeczywiście ujrzeć „owych cudownych dziwaków określanych w Świętych Pismach mianem Cherubinów”. Nie polega na tym, „że owi cudowni dziwacy widziani w moich wizjach sięgali czasem trzydziestu metrów... a wszyscy obdarzeni byli mitologicznym i tajemnym sensem”. Polega ona jedynie na jego zdolności do wyrażenia, w słowach czy (z mniejszym powodzeniem) w kresce i barwie przynajmniej jakiegoś śladu tego nie tak znów rzadkiego doświadczenia. Pozbawiony talentu wizjoner może postrzegać rzeczywistość wewnętrzną nie mniej straszliwą, piękną i znaczącą niż świat, jaki ukazał się Blake’owi; ale jest on pozbawiony zupełnie zdolności wyrażenia, w literackich czy plastycznych symbolach tego, co ujrzał.

Ze świadectw religii oraz zachowanych do dziś pomników poezji i sztuk plastycznych wynika jasno, że w większości epok i miejsc ludzie przywiązywali większe znaczenie do pejzażu wewnętrznego niż do obiektywnych zjawisk, czuli, że to, co dostrzegają z zamkniętymi oczyma posiada większe znaczenie duchowe niż to, co widzą oczyma otwartymi. Powód? Znajomość czegoś rodzi pogardę, a to jak przetrwać jest problemem, którego pilność waha się od chronicznej nudy do dręczącej potrzeby. Świat zewnętrzny jest tym, do czego budzimy się każdego ranka naszego życia, jest miejscem, gdzie chcąc nie chcąc musimy próbować organizować sobie jakoś życie. W świecie wewnętrznym nie ma ani pracy, ani monotonii. Odwiedzamy go tylko w marzeniach i rozmyślaniach, a jego obcość sprawia, że nigdy nie odnajdujemy tego samego świata przy dwóch kolejnych okazjach. Cóż więc dziwnego, że ludzie w swym poszukiwaniu boskości decydowali się na ogół patrzeć do wewnątrz! Na ogół, lecz nie zawsze. W sztuce w nie mniejszym stopniu niż w religii taoiści i adepci buddyzmu zen spoglądali poza wizje ku Pustce i poza Pustkę na

„dziesięć tysięcy rzeczy” obiektywnej rzeczywistości. Ze względu na swą doktrynę o wcieleniu Słowa, chrześcijanie powinni być zdolni do przyjęcia podobnej postawy wobec otaczającego ich wszechświata. Ale ze względu na

swą doktrynę o upadku okazało się to dla nich bardzo trudne. Jeszcze trzysta lat temu dawanie wyrazu daleko idącemu wyrzeczeniu się, a nawet potępieniu świata było zgodne z ortodoksją i zrozumiałe. „Nic w naturze nie powinno nas zadziwiać poza wcieleniem Chrystusa.” W siedemnastym stuleciu stwierdzenie Lallemanta brzmiało sensownie. Dziś ma w sobie coś z szaleństwa.

W Chinach podniesienie malarstwa pejzażowego do rangi pierwszorzędnej sztuki miało miejsce tysiąc lat temu, w Japonii sześćset lat temu, a w Europie trzysta lat temu.

Przyrównanie Ciała Dharmy do żywopłotu zostało poczynione przez mistrzów zen, którzy połączyli taoistyczny naturalizm z buddyjskim transcendentalizmem. A więc tylko na Dalekim Wschodzie pejzażyści traktowali świadomie swoją sztukę jako religijną. Na Zachodzie malarstwo religijne ograniczało się do portretowania świętych postaci, ilustrowania świętych tekstów. Pejzażyści uważali się za twórców świeckich. Dzisiaj odkrywamy w Seurat jednego z wybitnych mistrzów tego, co można określić jako mistyczne malarstwo pejzażowe. A przecież ów człowiek, który potrafił oddać, skuteczniej od innych, Jedno w wielości, reagował oburzeniem, kiedy ktoś chwalił go za „poezję” jego dzieł. „Stosuję tylko System”, protestował. Innymi słowy we własnym mniemaniu był

nikim więcej, tylko pointylistą. Podobną anegdotę przytacza się na temat Johna Constable’a. Któregoś dnia pod koniec życia, Blake spotkał Constable’a w Hampstead i pokazano mu jeden ze szkiców artysty z czasów młodości. Pomimo swej pogardy dla sztuki naturalistycznej, stary wizjoner potrafił docenić dobrą rzecz — z wyjątkiem, oczywiście, dzieł Rubensa. „To nie rysunek”, wykrzyknął, „to natchnienie!” „W moim zamierzeniu był

to rysunek”, odpowiedział w charakterystyczny dla siebie sposób Constable. Obaj mieli słuszność. To był rysunek, dokładny i wierny, a zarazem było to natchnienie — natchnienie przynajmniej tej miary, co Blake’a. W sosnach Heath’a dostrzeżono coś identycznego z Ciałem Dharmy. Szkic oddawał, z konieczności w niedoskonały, aczkolwiek budzący podziw sposób to, co oczyszczona percepcja ukazała otwartym oczom wielkiego malarza.

Od kontemplacji, w tradycji Wordswortha i Whitmana, Ciała Dharmy jako

żywopłotu i od wizji takich, jak zrodzone przez umysł Blake’a wizje „cudownych dziwaków” współcześni poeci oddalili się, wycofując się w badanie sfery osobistego, przeciwstawionego temu, co ponadosobiste, podświadome, i w wyrażanie, w wysoce abstrakcyjnych terminach, nie tego co dane, co jest obiektywnym faktem, lecz pojęć czysto naukowych czy teologicznych. Coś podobnego stało się w dziedzinie malarstwa. Byliśmy tu świadkami ogólnego odwrótu od pejzażu, wiodącej formy artystycznej dziewiętnastego stulecia. Ten odwrót od pejzażu nie skierował malarzy ku innemu, wewnętrznemu, boskiemu punktowi odniesienia, którym zajmowała się większość tradycyjnych szkół przeszłości, ku Archetypowemu Światu, w którym ludzie zawsze odnajdywali surowce mitu i religii. Nie, był to odwrót od zewnętrznego punktu odniesienia ku osobistej podświadomości, ku światu umysłowemu bardziej nędznemu i ciasnemu niż świat świadomej osobowości. Te maszyny z cyny i kolorowego plastiku — gdzie już je widziałem? W każdej galerii sztuki, która prezentuje nowości z dziedziny sztuki niefiguratywnej.

Ktoś wyjął teraz gramofon i położył na dysku płytę. Słuchałem z przyjemnością, ale nie doznałem niczego, co dałoby się porównać ze wzrokowymi apokalipsami kwiatów i flaneli.

Czy obdarzony wrodzonymi uzdolnieniami muzyk usłyszałby jakieś objawienia, które dla mnie miały jedynie charakter wizualny? Przeprowadzenie takiego eksperymentu byłoby rzeczą nader interesującą. Tymczasem, chociaż nie przemieniona, chociaż zachowująca swoją normalną postać i intensywność, muzyka bardzo się przyczyniła do mojego zrozumienia tego, co stało się ze mną oraz szerszych problemów, wynikłych z tego wydarzenia.

Muzyka instrumentalna, o dziwo, nie wzbudziła we mnie większej emocji. Po pierwszej części przerwano Koncert Fortepianowy C-moll Mozarta i rozbrzmiało nagranie madrygałów Gesualda.

— Te głosy — powiedziałem z uznaniem — te głosy są jakby pomostem do ludzkiego świata.

I pozostały pomostem, nawet śpiewając najbardziej zadziwiająco chromatyczne kompozycje szalonego księcia. Muzyka biegła poprzez

nierówne frazy madrygału, nigdy nie przybierając tej samej tonacji w dwóch kolejnych taktach. U Gesualda, tej fantastycznej postaci rodem z melodramatów Webstera, psychiczna dezintegracja wyolbrzymiła, pchnęła ku ostatecznym granicom tendencję zawartą w modalnej, nie w pełni tonalnej muzyce. Tak powstały dzieła, które brzmiały tak jak gdyby zostały napisane przez późnego Schonberga.

— A przecież — czułem się zmuszony stwierdzić, kiedy słuchałem tych wytworów psychozy kontrreformacji rozwijającej się w artystycznej formie późnego średniowiecza —

a przecież nie ma znaczenia, że jest cały we fragmentach. Całość uległa dezorganizacji. Ale każdy poszczególny fragment zachowuje porządek, jest reprezentantem wyższego porządku. Wyższy Porządek dominuje nawet pośród dezintegracji. Całość jest obecna nawet w strzaskanych kawałkach. Być może bardziej wyraźnie obecna niż w całkowicie spójnym dziele. Przynajmniej czysto ludzki, jedynie sfabrykowany porządek nie usypia naszej czujności fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Trzeba polegać na własnej bezpośredniej percepcji ostatecznego porządku. Tak więc w pewnym sensie dezintegracja ma swoje dobre strony. Ale oczywiście jest to niebezpieczne, strasznie niebezpieczne.

Przypuśćmy, że nie udało by się wrócić z powrotem z tego chaosu...

Od madrygałów Gesualda przeskoczyliśmy przepaść trzech wieków do Albana Berga i Suitry lirycznej.

— To — zapowiedziałem zawczasu — będzie piekło.

Ale, jak się okazało, pomyliłem się. W rzeczywistości muzyka brzmiała raczej zabawnie.

Męczarnia dwunastotonowej męczarni wydobyta z indywidualnej podświadomości; uderzyła mnie jedynie podstawowa rozbieżność między psychiczną dezintegracją jeszcze pełniejszą niż u Gesualda a fantastycznymi środkami w zakresie talentu i techniki, zastosowanymi dla nadania jej wyrazu.

— Czyż nie użala się nad sobą — skomentowałem z ironicznym brakiem sympatii. A następnie: — Katzenmusik — wyuczona Katzenmusik. — I wreszcie, po kilku kolejnych minutach męki: — Kogo obchodzą jego uczucia? Czy nie mógłby zwrócić uwagi na coś innego?

Jako krytyka czegoś, co jest niewątpliwie bardzo wybitnym dziełem było to niesprawiedliwe i nieadekwatne, ale nie sądzę, że pozbawione odniesienia. Cytuję, nie biorąc za to odpowiedzialności i dlatego, tak właśnie, w stanie czystej kontemplacji, reagowałem na Suitę liryczną.

Kiedy utwór się skończył, eksperymentator zaproponował mi przechadzkę po ogrodzie.

Miałem na nią ochotę; i chociaż moje ciało zdawało się niemal całkowicie odszczerpione od mojego umysłu — czy, ściślej rzecz biorąc, chociaż mojej świadomości przemienionego świata zewnętrznego nie towarzyszyła świadomość mojego fizycznego organizmu —

zdołałem wstać, otworzyć drzwi na taras i wyjść jedynie z niewielkim wahaniem.

Oczywiści, dziwne było poczucie, że „ja” nie jestem tym samym, co moje ręce i nogi „na zewnątrz”, co ten w pełni obiektywny tułów, szyja czy nawet głowa. Było to dziwne; ale szybko się do tego przyzwyczaiłem. Tak czy inaczej, ciało potrafiło się doskonale troszczyć o siebie. W rzeczywistości, oczywiście, zawsze się o siebie troszczy. Świadome ego potrafi jedynie formułować życzenia spełniane później przez siły, które ono jedynie w małym stopniu kontroluje, wcale ich nie rozumiejąc. Kiedy czyni coś więcej — kiedy, na przykład, stara się za bardzo, kiedy się niepokoi, kiedy lęka się o przyszłość — obniża efektywność tych sił i może nawet spowodować wystąpienie choroby w zdewitalizowanym ciele. W

moim obecnym stanie świadomość nie odnosiła się do ego; była zdana na samą siebie.

Oznaczało to, że fizjologiczna inteligencja sprawująca kontrolę nad ciałem była również zdana na samą siebie. Tymczasowo ten przeszkadzający neurotyk, który na jawie próbuje się szarogęsić, był dzięki Bogu odsunięty od

działania.

Zszedłem z tarasu, przeszedłem pod pewnego rodzaju pergolą pokrytą częściowo pnącym się krzewem różanym, częściowo deszczułkami, szerokości dwu i pół centymetrów rozstawionymi w odstępie jednego centymetra. Świeciło słońce, i cienie deszczulek rzucały żebrowaty wzór na ziemię, na siedzenie i na ogrodowe krzesło, stojące po tej stronie pergoli. To krzesło — czy kiedykolwiek je zapomnę? Tam, gdzie cienie padały na płótno obicia, pasy głębokiego, ale błyszczącego indygo występowały naprzemiennie z pasami żaru tak intensywnie jasnego, że trudno było uwierzyć, iż mogą być wytworzone przez cokolwiek poza błękitnym ogniem. Zdawało mi się, że nieskończenie długo wpatruję się przed siebie, nie wiedząc, nawet nie pragnąc wiedzieć, co przede mną stoi. Przy każdej innej okazji widziałbym krzesło pocięte naprzemiennie światłem i cieniem. Dziś percepcja pochłonęła koncepcję. Byłem tak całkowicie zaabsorbowany patrzeniem, tak oszołomiony tym, co widzę, że nie byłem świadomy czegokolwiek poza tym. Ogrodowe meble, deszczułki, słońce, cień — to jedynie nazwy i pojęcia, czyste werbalizacje, dokonane po czasie dla celów praktycznych czy naukowych. Samo wydarzenie sprowadzało się do następstwa lazurowych drzwi pieca oddzielonych zatokami niezgłębionej gencjany. Było to niesłychanie cudowne, cudowne aż do granic przerażenia. I nagle zrozumiałem bodaj jak może się czuć szaleniec. Schizofrenia ma swoje nieba, ale i swoje piekła i czyściec; pamiętałem, co stary, od lat nie żyjący przyjaciel, opowiadał mi o swojej chorej żonie.

Któregoś dnia we wstępnej fazie choroby, kiedy ta kobieta miewała chwile przejaśnienia, odwiedził ją w szpitalu, by porozmawiać o dzieciach. Przez pewien czas słuchała, potem mu przerwała. Jakże mógł tracić czas na dwójkę nieobecnych dzieci, skoro naprawdę istotne, tu i teraz, było niewyraźne piękno wzorów, które stwarzał, na marynarce z brązowego tweedu za każdym ruchem rąk? Niestety, ten raj oczyszczonej percepcji nie przetrwał. Błogie przerwy stały się coraz rzadsze, coraz krótsze, aż wreszcie zupełnie się skończyły; zostało tylko przerażenie.

Większość osób zażywających meskalinę przeżywa wyłącznie niebiańską stronę schizofrenii. Środek ten niesie piekło i czyściec tylko tym, którzy przeszli niedawno żółtaczkę albo cierpiącym na okresową depresję lub

chroniczny lęk. Gdyby, podobnie jak inne środki o zbliżonej mocy, meskalina była nieodmiennie toksyczna, samo jej branie powodowałoby lęk. Ale ciesząca się dobrym zdrowiem osoba wie z góry, że jeżeli o nią chodzi, meskalina jest zupełnie nieszkodliwa, że jej efekty ustąpią po ośmiu czy dziesięciu godzinach, nie zostawiając kaca, a w rezultacie żadnego łaknienia, potrzeby ponownego przyjęcia dawki. Człowiek ubezpieczony przez taką wiedzę, wchodzi w eksperyment bez strachu — innymi słowy bez żadnej predyspozycji do przekształcenia niezwykle dziwnego i odmiennego od zwykłej kondycji ludzkiej doświadczenia w coś przerażającego, coś naprawdę diabolicznego.

Stojąc przed krzesłem, które wyglądało jak Sąd Ostateczny czy by być bardziej precyzyjnym, przed Sądem Ostatecznym, w którym po długim czasie i z wielką trudnością rozpoznałem krzesło — znalazłem się nagle na krawędzi paniki. Raptem poczułem, że sprawy posunęły się za daleko. Za daleko, chociaż wkraczałem w coraz intensywniejsze piękno, w coraz głębszy sens. Strach, jak wynika z retrospektywnej analizy, dotyczył

pochłonięcia, dezintegracji pod presją rzeczywistości większej od tej, jaką może znieść umysł przyzwyczajony do życia przez przeważającą część czasu w zacisznym świecie symboli. Literatura na temat doświadczenia religijnego obfituje w odniesienia do bólu i przerażenia ogarniające tych, którzy stanęli, zbyt nagle, twarzą w twarz z jakimś przejawem *Mysterium tremendum*. Mówiąc językiem teologicznym, ten strach wynika ze sprzeczności między egotyzmem człowieka a boską czystością, między powstałą z winy człowieka odrębnością a Bożą nieskończonością. Idąc za Boehmem i Williamem Law możemy stwierdzić, że grzeszne dusze mogą pojąć sens boskiego Światła w całej jego płomienistości tylko pod postacią palącego, czyścącego ognia. Niemal identyczną doktrynę można odnaleźć w Tybetańskiej Księdze Umarłych, gdzie dusza, która odłączyła się od ciała opisana jest jako cofająca się z trwogą przed Czystym Światłem Pustki, a nawet przed pomniejszych światłami o umiarkowanej mocy po to, by rzucić się na oślep w kojącą ciemność jaźni jako odrodzona istota ludzka czy nawet jako zwierzę, nieszczęśliwy duch, mieszkaniec piekła. Wszystko, wszystko byle nie paląca jasność ostatecznie prawdziwej Rzeczywistości!

Schizofrenik to nie tylko człowiek grzeszny, ale i rozpaczliwie chory, f Jego

choroba polega nie na niezdolności do znalezienia schronienia przed wewnętrzną i zewnętrzną rzeczywistością (jak robi to nawykowo zdrowa psychicznie osoba) w domowego wyrobu wszechświecie zdrowego rozsądku — czysto ludzkim świecie użytecznych pojęć, wspólnych symboli i społecznie akceptowanych konwencji.

Schizofrenik jest jak człowiek będący bezustannie pod wpływem meskaliny, i dlatego nie potrafi wyłączyć doświadczenia Rzeczywistości; nie jest dość święty, by z nią współistnieć; nie potrafi jej wytłumaczyć, ponieważ jest ona najbardziej nieustępliwym pierwotnym faktem. Rzeczywistość nigdy nie pozwala mu spoglądać na świat czysto ludzkimi oczyma, zmusza go ze strachu do interpretowania jej nieustannej dziwaczności, jej palącej intensywności sensu jako przejawów ludzkiego czy nawet kosmicznego zła, domagającego się najbardziej rozpaczliwych środków zaradczych, od morderczej przemocy na jednym biegunie do katatonii, psychicznego samobójstwa na drugim. Jeśli raz wkroczymy na idącą w dół, piekielną drogę, nie sposób się zatrzymać. Teraz było to aż nazbyt jasne.

— Jeśli zacząłeś od złej strony — powiedziałem w odpowiedzi na pytanie eksperymentatora — wszystko co się dzieje, będzie dowodem spisku przeciw tobie.

Wszystko będzie swym własnym samo potwierdzeniem. Każde zaczerpnięcie oddechu uznasz za część spisku.

— A więc sądzisz, że wiesz, na czym polega szaleństwo? — moją odpowiedzią było pełne przekonanie i płynące z serca: — Tak. — I nie byłeś tego w stanie kontrolować? — Nie, nie mogłem. Jeśli podstawową przesłanką człowieka jest strach i nienawiść, musi iść tą drogą aż do ostatniego wniosku.

— Czy potrafiłbyś — spytała moja żona — skoncentrować uwagę na tym, co Tybetańska Księga Umarłych nazywa Czystym Światłem? Powątpiewałem w to.

— Czy powstrzymałbyś to zło, gdybyś potrafił się na nim skupić? Dłużą chwilę zastanawiałem się nad tym pytaniem.

— Może — odpowiedziałem w końcu — może i potrafiłbym, ale tylko gdyby był ktoś, kto mówiłby mi o Czystym Świecie. Człowiek nie jest w stanie sam tego osiągnąć. Na tym polega istota tybetańskiego rytuału — ktoś siedzi przy tobie cały czas i mówi, co jest co.

Po wysłuchaniu nagrania tej części doświadczenia, wyjąłem swój egzemplarz Tybetańskiej Księgi Umarłych w wydaniu Evansa-Wentza i otworzyłem go na chybił trafił. „O

szlachetnie urodzony, niechaj twój umysł nie dozna rozproszenia.” To był problem —

pozostać nie rozproszonym. Nie rozproszonym przez wspomnienie minionych grzechów, przez wyobrażenia przyjemności, przez gorzki posmak dawnych krzywd i upokorzeń, przez wszystkie lęki, nienawiści i pożądania, które zwykle zaciemniają Światło. Czy tego, co ci buddyjscy mnisi robili dla umierających i umarłych, nie mógłby współczesny psychiatra uczynić dla chorych psychicznie? Warto, żeby istniał głos, który by ich upewniał, w dzień a nawet we śnie, że pomimo całego przerażenia, całej dezorientacji i pomieszania, ostateczna Rzeczywistość pozostaje w nie naruszony sposób sobą i jest uczyniona z tej samej substancji, co wewnętrzne światło nawet w najbardziej okrutny sposób udręczonego umysłu. Dzięki takim środkom pomocniczym jak magnetofony, kontrolowane zegarowe przełączniki, systemy przekąźnikowe i głośniki w poduszce powinno być bardzo łatwo nieustannie przypominać pacjentom nawet posiadającego nieliczny personel zakładu o tym podstawowym fakcie. Być może udałoby się w ten sposób pomóc części z tych zagubionych dusz w zyskaniu pewnej kontroli nad wszechświatem — zarazem pięknym i przerażającym, ale zawsze nieludzkim, zawsze całkowicie niepojętym — w którym są skazani żyć.

Na szczęście w niedługim czasie oderwano moją uwagę od niepokojących wspaniałości ogrodowego krzesła. Opadając zielonymi parabola-mi z żywopłotu liście bluszczu świeciły szklistym, jodeitowym blaskiem. Chwilę później w moim polu widzenia wystrzeliła kępka krwistoczerwonych kwiatów *Kniphofia uvaria* w pełnym rozkwicie. Tak żywe w swej pasji istnienia, że zdawały się na skraju artykulacji, kwiaty pięły się w górę ku błękitowi.

Podobnie jak w krześle pod deszczułkami, krył się w nich jakiś przesadny protest.

Spojrzałem na liście i odkryłem pełną wgłębień gmatwaninę bardzo subtelnych zielonych świateł i cieni, pulsujących niemożliwą do odszyfrowania tajemnicą.

Róże:

Łatwo malować kwiaty,

Trudniej liście.

Haiku Shiki (które cytuję w przekładzie F. H. Blytha) wyraża, pośrednio, dokładnie to, co wówczas czułem — przesadny, nazbyt oczywisty splendor kwiatów, skonstrastowany z subtelniejszym cudem ich listowia. Wyszliśmy na ulicę. Przy krawężniku stał ogromny bladoniebieski samochód. Na jego widok opanowała mnie niezwykła wesołość. Cóż za samozadowolenie, coś za absurdalna satysfakcja z siebie biła z tych wypukłych powierzchni najbardziej błyszczącego lakieru! Człowiek stworzył rzecz na swój obraz —

czy raczej na obraz swego ulubionego bohatera literackiego. Śmiałem się, aż łzy pociekły mi po policzkach.

Weszliśmy z powrotem do domu. Podano posiłek. Ktoś, kto nie był tożsamy ze mną, rzucił

się nań z wilczym apetytem. Przyglądałem się temu ze znacznej odległości i bez specjalnego zainteresowania.

Po jedzeniu wsiedliśmy do samochodu i udaliśmy się na przejażdżkę. Efekty meskaliny zaczynały już słabnąć, ale kwiaty w ogrodach nadal oscylowały na skraju nadprzyrodzoności, drzewa pieprzowe i chleb świętojański wzdłuż bocznych uliczek nadal należały nieodparcie do jakiegoś świętego gaju. Eden następował po Dodonie, Igdrasil po Róży mistycznej. I, nagle, znaleźliśmy się na skrzyżowaniu, czekając na to, by przeciąć Sunset Boulevard. Przed nami sunęły ciągłym strumieniem samochody — tysiące samochodów, wszystkie jaskrawe i błyszczące jak sen autora reklam, a każdy bardziej

niedorzeczny od poprzedniego. Ponownie opanował mnie konwulsyjny śmiech.

Wreszcie Morze Czerwone ruchu ulicznego rozstało się i przecięliśmy jezdnię wjeżdżając w kolejną oazę drzew, trawników i róż. Po kilku minutach wspięliśmy się na dogodny punkt widokowy na wzgórzach — pod nami rozpościerało się miasto. Ku mojemu rozczerwowaniu, wyglądało jak miasto, które widziałem przy innych okazjach. Wedle mojej oceny, przemiana była proporcjonalna do odległości. Im bliższa odległość, tym bardziej boska odmienność. Ta szeroka, przyćmiona panorama w małym stopniu odbiegała od tej co zwykle.

Jechaliśmy dalej i dopóki pozostawaliśmy na wzgórzach, mając perspektywę na odległy widok, sens widzianego był na codziennym poziomie, o wiele poniżej punktu przeobrażenia. Magia zaczęła znowu działać, kiedy zjechaliśmy w dół w nową dzielnicę podmiejską i przemknęliśmy między dwoma rzędami domów. Tutaj, pomimo szczególnej brzydoty architektury, pojawiła się na nowo transcendentalna inność, przebłyski porannego nieba. Ceglane kominy i zielone dachy o tanim pokryciu błyszcząły w słońcu jak fragmenty Nowego Jeruzalem. I nagle ujrzałem to, co ujrzał Guardi i (z nieźrównanym mistrzostwem!) tak często oddawał na swych obrazach — pokryty stiukiem mur z przecinającym go cieniem, czysty, ale niewymownie piękny, pusty, ale wypełniony całym sensem i tajemnicą istnienia. Zaświtało Objawienie, by zniknąć w ułamku sekundy.

Samochód jechał dalej; czas odsłaniał kolejny przejaw wieczystej Istotowości. „W

identyczności mieści się odmienność. Ale to, by odmienność była różna od identyczności nie leży w mądrości i intencji wszystkich Buddów. Ich intencją jest zarazem pełnia i różnorodność!” Na przykład ta ławica czerwonego i białego geranium — była całkowicie odmienna od pokrytego stiukiem muru dziewięćdziesiąt metrów w górę drogi. Ale

„istotowość” obu była taka sama, wieczna jakość ich przemijalności była taka sama.

W godzinę później, po pokonaniu dziesięciu mil i wizycie w Największym

Supermarkecie Świata, wróciliśmy do domu, a ja powróciłem do owego kojącego, ale wyraźnie niezadowolającego stanu znanego jako „bycie przy zdrowych zmysłach”.

Jest wysoce nieprawdopodobne, że cała ludzkość mogłaby się kiedykolwiek obyć bez Sztucznych Rajów. Większość ludzi prowadzi życie w najgorszym razie tak bolesne, w najlepszym zaś tak monotonne, ubogie i ograniczone, że chęć ucieczki, tęsknota, by wykroczyć poza nie bodaj na kilka chwil stanowi i zawsze stanowiła jedną z głównych pokus duszy. Sztuka i religia, karnawały i saturnalia, taniec i słuchanie oratoriów —

wszystkie one służyły, żeby odwołać się do H. G. Wellsa, jako Drzwi w Murze. Do prywatnego, codziennego użytku zawsze pozostawały chemiczne środki odurzające.

Wszystkie roślinne środki uspokajające i narkotyki, wszystkie rosnące na drzewach środki euforyzujące, halucynogeny dojrzewające w jagodach czy te które można wyciskać z korzeni — wszystkie, bez wyjątku, znano i systematycznie stosowano od niepamiętnych czasów. Do tych naturalnych środków modyfikujących świadomość nauka współczesna dopisała swój wkład w postaci środków syntetycznych — na przykład, chloral, benzedryna, bromki i barbiturany.

Większości tych środków modyfikujących świadomość można obecnie zażywać tylko i wyłącznie za zaleceniem lekarskim, albo nielegalnie, z dużym ryzykiem. Zachód zezwolił

jedynie na nieograniczone używanie alkoholu i tytoniu. Wszystkie pozostałe chemiczne Drzwi w Murze zostały zakwalifikowane jako NARKOTYKI, a ludzi którzy używają ich nielegalnie określa się mianem NARKOMANÓW. Obecnie wydajemy znacznie więcej na napoje alkoholowe czy papierosy niż na szkolnictwo. Nie ma w tym, rzecz jasna, nic dziwnego. Potrzeba ucieczki od jaźni i od otoczenia tkwi niemal cały czas w każdym człowieku. Potrzeba zrobienia czegoś dla młodych jest silna tylko u rodziców, i to też tylko przez te lata, gdy ich dzieci chodzą do szkoły. Równie oczywista jest obecna postawa wobec napojów alkoholowych i papierosów. Pomimo rosnącej armii nieuleczalnych alkoholików, pomimo setek tysięcy ludzi rokrocznie okaleczonych czy zabitych przez pijanych kierowców popularni komicy

nadal stroją sobie żarty z alkoholu i z osób od niego uzależnionych. I pomimo dowodów wiążących papierosy z rakiem płuc, praktycznie wszyscy uważają palenie tytoniu za niewiele mniej naturalne niż jedzenie. Z punktu widzenia pragmatycznego racjonalisty może się to wydać dziwne. Ale historyk wcale się temu nie dziwi. Silne przekonanie o fizycznej rzeczywistości Piekła nigdy nie odwiodło średniowiecznych chrześcijan od robienia tego, co nakazywały im ambicja, żądza czy chciwość. Rak płuc, wypadki drogowe oraz miliony nieszczęśnych, a zarazem unieszczęśliwiających alkoholików to bardziej nawet bezsporne fakty niż za czasów Dantego fakt istnienia Piekła. Ale wszystkie te fakty są odległe i niezbyt ważne w porównaniu z bliskim, odczuwanym tu i teraz faktem chęci znalezienia ulgi czy spokoju w trunku lub w papierosie. . Nasza epoka jest, między innymi, epoką samochodu i gwałtownego wzrostu populacji. Alkohol jest czymś nie do pogodzenia z bezpieczeństwem na drogach, a jego produkcja, podobnie jak produkcja tytoniu, skazuje na praktyczną jałowość wiele milionów akrów najbardziej żyznej gleby. Problemów nasuwanych przez alkohol i tytoń nie sposób, rzecz jasna, rozwiązać przez prohibicję. Nie można zakazać powszechnej i odwiecznej potrzeby autotranscendencji poprzez zatrzaśnięcie tak obecnie popularnych Drzwi w Murze. Jedyną rozsądną polityką jest otwarcie innych, lepszych drzwi w nadziei, że nakłoni się ludzi do zmiany dawnych, złych nawyków na nowe i mniej szkodliwe. Niektóre z tych innych, lepszych drzwi będą miały charakter społeczny i techniczny, inne religijny czy psychologiczny, jeszcze inne dietetyczny, edukacyjny czy sportowy. Ale potrzeba częstego chemicznego urlopu od trudnej do zniesienia jaźni i odpychającego otoczenia niewątpliwie pozostanie. I potrzebny jest nowy środek, który przyniesie ulgę i pociechę naszemu cierpiącemu gatunkowi, nie czyniąc na dłuższą metę więcej szkody, niż czyni dobra na krótką. Taki środek musi być skuteczny w małych dawkach i możliwy do syntetyzowania. Jeśli nie będzie posiadać tych cech, jego produkcja, tak jak produkcja wina, piwa, napojów wysokoprocentowych i tytoniu będzie kolidowała z wytwarzaniem niezbędnego pożywienia i odzieży. Musi być mniej toksyczny niż opium i kokaina, mniej skłonny do wywoływania niepożądanych skutków społecznych niż alkohol czy barbiturany, mniej szkodliwy dla serca i płuc niż smółki i nikotyna zawarte w papierosach. Natomiast, w wymiarze pozytywnym, powinien wywoływać w świadomości zmiany bardziej interesujące, o większej wartości wewnętrznej niż uspokojenie czy stan rozmarzenia, urojenia wielkościowe czy brak

zahamowań. Dla większości ludzi meskalina jest niemal zupełnie nieszkodliwa.)przeciwieństwie do alkoholu, nie wprawia zażywającego w stan swoistej, pozbawionej zahamowań aktywności, która znajduje swój wyraz w awanturach, przestępstwach, atakach przemocy i wypadkach drogowych. Człowiek pod wpływem meskaliny jest spokojny i zajęty sobą. Ponadto zajmuje się doświadczeniem w pełnym sensie tego słowa oświecającym, za które w dodatku nie trzeba płacić (to niewątpliwie bardzo ważne) kompensacyjnym kacem. Wiemy bardzo niewiele o długoterminowych efektach systematycznego zażywania meskaliny. Indianie, którzy spożywają peyotlowe guziki nie ulegają najwyraźniej z powodu tego zwyczaju fizycznej ani moralnej degradacji. Dostępne dane są jednak nadal skąpe i szkieletowe.²

Chociaż niewątpliwie meskalina przewyższa kokainę, opium, alkohol i tytoń, nie jest jednak jeszcze środkiem idealnym. Obok większości zażywających meskalinę, którzy ulegają szczęśliwemu przeobrażeniu istnieje mniejszość, dla której środek ten stanowi piekło bądź czyściec. Co więcej, jak na środek, który ma być niczym alkohol używany do powszechnej konsumpcji, jego efekty utrzymują się przez kłopotliwie długi czas. Ale chemię i fizjologię stać dzisiaj praktycznie na wszystko. Jeśli psychologowie i socjologowie zdefiniują ideał, można mieć nadzieję, że neurologowie i farmakolodzy odkryją środki, dzięki którym można będzie urzeczywistnić ten ideał, a przynajmniej (być że, bowiem takiego rodzaju ideału nie da się nigdy, z samej natury rzeczy, w pełni zrealizować) przybliżyć się do niego w większym stopniu, niż to miało miejsce w sączącej wino przeszłości, pijącej whisky, palącej marihuanę i łykającej barbiturany teraźniejszości. Potrzeba wykroczenia poza krępującą jaźń jest, jak stwierdziłem podstawowym pragnieniem duszy. Kiedy, z jakichkolwiek powodów ludziom nie udaje się przekroczyć siebie za pośrednictwem kultu religijnego, dobrych uczynków i ćwiczeń duchowych, są skłonni uciekać się do chemicznych surogatów religii — alkoholu i

„głupiego Jasia” na współczesnym Zachodzie, alkoholu i opium na Wschodzie, haszyszu w świecie muzułmańskim, alkoholu i marihuany w Ameryce Środkowej, alkoholu i koki w Andach, alkoholu i barbituranów w bardziej nowoczesnych regionach Ameryki Południowej. W Poisons Sacres, Ivresses Divines Philippe de Felice pisze dużo, dostarczając bogatej dokumentacji, o istniejącym od niepamiętnych czasów związku między

religią a zażywaniem środków odurzających. Tutaj, w streszczeniu lub w bezpośrednich cytatach, przedstawiam jego wnioski. Stosowanie substancji toksycznych do celów religijnych jest „bardzo rozpowszechnione... Praktyki opisane w niniejszym tomie obserwuje się w każdym regionie świata, w nie mniejszym stopniu pośród ludów prymitywnych, niż pośród tych, które osiągnęły wysoki poziom cywilizacji. Nie mamy więc do czynienia z wyjątkowymi faktami, które można zasadnie pominąć, ale z powszechnym, i w najszerszym sensie tego słowa ogólnoludzkim zjawiskiem, zjawiskiem którego nie może pominąć ktoś, kto próbuje odkryć, czym jest religia i jakie głębokie potrzeby zaspokaja.”

W sytuacji optymalnej, każdy powinien móc odnaleźć autotranscendencję w jakiejś formie czystej lub stosowanej religii. W praktyce wydaje się nader nieprawdopodobne, by kiedykolwiek doszło do takiego stanu. Istnieją, i bez wątpienia zawsze będą istnieć, dobrzy wierni, dla których, niestety, pobożność nie jest wszystkim. Nieżyjący G. K. Chesterton, który pisał równie lirycznie o wypitce, co o pobożności może służyć jako ich wymowny przedstawiciel.

Współczesne kościoły, z niewielkimi wyjątkami spośród wyznań protestanckich, tolerują alkohol; ale nawet najbardziej tolerancyjne nie uczyniły żadnej próby włączenia tego środka do chrześcijaństwa czy sakramentalizacji jego użycia. Pobożny pijus jest zmuszony do umieszczania religii w jednej przegródce, a surogatu religii w drugiej. I być może jest to nieuniknione. Picie nie może podlegać sakramentalizacji, poza tymi religiami, które nie przywiązują wielkiej wagi do dobrych obyczajów. Kult Dionizosa czy celtyckiego bożka piwa był głośnym i wyuzdanym aktem. Obrzędy chrześcijańskie są nie do pogodzenia nawet z religijnym upojeniem. Nie czyni to żadnej szkody gorzelnikom, ale jest bardzo niekorzystne dla chrześcijaństwa. Niezliczona liczba ludzi jest spragniona autotranscendencji i z zadowoleniem odnalazłaby ją w kościele. Ale, niestety, „głodne owieczki czekają, lecz pozostają nie nakarmione”. Biorą udział w obrzędach, słuchają kazań, powtarzają modlitwy; ale ich pragnienie pozostaje nie zaspokojone. Rozczarowani, uciekają się do butelki. Przynajmniej przez pewien czas i w pewnej mierze jest to skuteczne. Mogą nadal jeszcze bywać w kościele; ale nie ma on dla nich większego znaczenia niż Muzyczny Bank z Erewhon Butlera. Nadal mogą uznawać Boga; ale jest on Bogiem tylko na poziomie

słownym, tylko w czysto pickwиковskim sensie. Rzeczywistym obiektem kultu jest butelka, a jedynym religijnym przeżyciem jest stan niepohamowanej i przebojowej euforii, która towarzyszy spożyciu trzeciego cocktailu.

Widzimy więc, że chrześcijaństwo i alkohol nie mogą iść i nie idą ze sobą w parze.

Chrześcijaństwo i meskalina bardziej godzą się ze sobą. Zostało to zademonstrowane przez wiele plemion indiańskich od Teksasu aż do takich wysuniętych na północ regionów jak Wisconsin. Pośród tych plemion można odnaleźć grupy afiliowane przy Amerykańskim Kościele Narodowym, sekcje, której naczelnym obrzędem jest rodzaj wczesnochrześcijańskiej agape, czy wieczerzy miłości, gdzie plasterki pejotlu zastępują sakramentalny chleb i wino. Wierni Amerykańskiego Kościoła Narodowego traktują kaktus jako specjalny dar Boga dla Indian i przyrównują jego efekty do działania Ducha Świętego.

Profesor J. S. Slotkin — jeden z nielicznych białych, którzy kiedykolwiek uczestniczyli w obrzędach zgromadzenia pejotystów — twierdzi, iż jego współbracia w kulcie nigdy nie są

„oszołomieni czy pijani... Nigdy nie wypadają z rytmu i nie bełkoczą, jak to się zdarza pijanym czy oszołomionym ludziom. Są spokojni, uprzejmi i grzeczni. Nigdy nie odwiedziłem żadnego domu modlitwy białego człowieka, w którym byłoby tyle uczuć religijnych i dobrych obyczajów.” Cóż, możemy zapytać, przeżywają ci pobożni i obdarzeni dobrymi manierami pejotyści? Nie umiarkowane poczucie cnoty, które pozwala przeciętnemu niedzielnemu wiernemu chodzącemu do kościoła przetrwać dziewięćdziesiąt minut nudy. Nawet nie owe wzniosłe uczucia, inspirowane myślami o Stwórcy, Odkupicielu, Sędzim i Pocieszycielu,

jakie ożywiają pobożnych. Dla tych wiernych Amerykańskiego Kościoła Narodowego doświadczenie religijne jest czymś bardziej bezpośrednim i oświecającym, bardziej spontanicznym, w mniejszym stopniu domowego wyrobu produktem powierzchownego, skrępowanego umysłu. Czasem (według raportów sporządzonych przez dr Slotkina) mają oni wizje, na przykład ukazuje im się sam Chrystus. Czasem słyszą głos Wielkiego Ducha.

Czasem uświadamiają sobie obecność Boga i tych niedostatków osobistych, które muszą być naprawione, jeśli oni mają pełnić Jego wolę. Praktyczne skutki tego chemicznego otwarcia drzwi do Innego Świata wydają się w pełni pozytywne. Dr Slotkin twierdzi, że nałogowi pejotyści są ogólnie rzecz biorąc bardziej pracowici, bardziej wstrzemięźliwi (wielu z nich całkowicie rezygnuje z alkoholu), bardziej spokojni niż niepejotyści. Nie można pochopnie potępiać jako złe drzewa o tak wybornych owocach.

Indianie z Amerykańskiego Kościoła Narodowego sakramentalizując użycie pejotlu uczynili coś zarazem psychologicznie sensownego i historycznie szacownego. We wczesnych wiekach chrześcijaństwa wiele pogańskich obrzędów i festiwali zostało, jeśli tak można rzec, ochrzczonych i zaczęło służyć celom Kościoła. Te zabawy nie były specjalnie budujące; ale zaspokajały określony głód psychiczny i dawni misjonarze mieli dość rozumu, by zamiast próbować je wykorzenić, zaakceptować je takimi, jakimi były, jako zaspokajające przejawy pierwotnych potrzeb duszy i włączyć je w tkankę nowej religii.

Przedstawiciele Amerykańskiego Kościoła Narodowego uczynili coś podobnego. Wzięli pogański zwyczaj (zwyczaj, nawiasem mówiąc, o wiele bardziej budujący i światły niż większość raczej ogłupiających hulanek i maskarad przejętych z europejskiego pogaństwa) i nadali mu chrześcijański sens.

Chociaż dopiero niedawno wprowadzone do północnych Stanów Zjednoczonych, spożywanie pejotlu i oparta na tym religia stały się ważnymi symbolami prawa Czerwonoskórego do duchowej niezależności. Niektórzy Indianie zareagowali na supremację białych poprzez poddanie się amerykanizacji, inni poprzez wycofanie się w tradycję indiańską. Ale niektórzy spróbowali wziąć to, co najlepsze z obu światów, a właściwie z wszystkich światów — najlepsze z tradycji indiańskiej, najlepsze z chrześcijaństwa, i najlepsze z tych Innych Światów transcendentalnego doświadczenia, gdzie dusza poznaje siebie w swym nie uwarunkowaniu i boskości. Stąd Amerykański Kościół Narodowy. Zlały się w nim dwa wielkie pragnienia duszy — potrzeba niezależności i samookreślenia oraz potrzeba auto transcendencji — i zostały zinterpretowane w świetle trzeciego — potrzeby kultu, wyjaśnienia dróg Bożych człowiekowi, wyjaśnienia

wszechświata za pośrednictwem spójnej teologii.

Oto biedny Indianin nie skażony uczonością Z przodu odziany, z tyłu okryty nagością.

Ale w rzeczywistości to my, bogaci i wykształceni biali, pozostajemy z tyłu nadzy.

Przykrywamy naszą nagość z przodu jakąś filozofią — chrześcijańską, marksistowską, freudowsko-fizykalistyczną — ale z tyłu pozostajemy nie osłonięci, zdani na łaskę wszystkich wiatrów okoliczności. Biedny Indianin, z drugiej strony, miał dość rozumu, by osłonić swój tył dołączając do listka figowego teologii łatę doświadczenia transcendentalnego.

Nie jestem na tyle głupi, by stawiać znak równości między tym, co się dzieje pod wpływem meskaliny lub innego środka, istniejącego czy tego, który zostanie wytworzony w przyszłości, a uświadomieniem sobie celu i ostatecznego zamysłu ludzkiego życia: Oświeceniem, Widzeniem Uszczęśliwiającym. Sugeruję tylko, że doznanie po zażyciu meskaliny jest tym, co katolicycy teologowie nazywają „niezasłużoną łaską”, konieczną do zbawienia, ale potencjalnie pomocną, którą w przypadku jej otrzymania należy zaakceptować, składając za nią dzięki. Zostać wyrwanym z kolein normalnej percepcji, uzyskać na kilka bezczasowych godzin widzenie zewnętrznego i wewnętrznego świata, nie takie, jakim dysponuje zwierzę opętane przetrwaniem lub człowiek opętany słowami i pojęciami; ujrzeć je takimi jakimi postrzega je, w całej bezpośredniości i nieuwarunkowaniu, Wolny Umysł — to doświadczenie o nieocenionej wartości dla każdego, szczególnie dla intelektualisty. Intelektualista bowiem jest z definicji człowiekiem, dla którego, według określenia Goethego, „świat jest zasadniczo owocny”.

Jest człowiekiem, który ma poczucie, że „to, co postrzegamy okiem jest nań jako takie obce i nie musi wywierać na nas silnego wrażenia”. A mimo to, chociaż Goethe sam był

intelektualistą i jednym z najwspanialszych mistrzów języka, nie zawsze zgadzał się z własną oceną słowa „Mówimy”, pisał w połowie życia, „o wiele za dużo. Powinniśmy mówić mniej, a więcej rysować. Osobiście chciałbym

porzucić zupełnie mowę i, tak jak Przyroda ożywiona przekazywać wszystko, co mam do zakomunikowania w szkicach. To drzewo figowe, ten mały wąż, kokon na moim parapecie okiennym czekający spokojnie swej przyszłości — wszystko to ważne sygnatury. Człowiek zdolny odszyfrować trafnie ich sens wkrótce mógłby się obyć bez słowa pisanego czy mówionego. Im więcej o tym myślę, tym bardziej dostrzegam bezowocność, przeciętność, a nawet (mam pokusę rzec) przesadną strojność mowy. W przeciwieństwie do tego, jakże zadziwia nas powaga Przyrody, jej milczenie, kiedy stajemy przed nią twarzą w twarz, w skupieniu, kontemplując nagi masyw górski czy pustkowie pradawnych wzgórz.” Nie możemy się nigdy obyć bez języka i innych systemów symbolicznych; albowiem dzięki nim i tylko nim udało się nam wznieść ponad zwierzęcość na poziom istot ludzkich. Z łatwością jednak możemy się stać nie tyle beneficjentami, co ofiarami tych systemów. Musimy się nauczyć efektywnie posługiwać słowami; ale zarazem musimy zachować, a jeśli zajdzie potrzeba pogłębić naszą zdolność do bezpośredniego oglądu świata, bez pośrednictwa tego na wpół nieprzejrzystego medium pojęć, które zniekształca każdy fakt

nadając mu nazbyt znajome podobieństwo jakiejś definiującej rodzaj etykiety czy wyjaśniającej abstrakcji.

Literacka czy naukowa, ogólna czy specjalistyczna, cała nasza edukacja jest w przeważającej mierze słowna i dlatego nie jest w stanie osiągnąć tego, do czego jest powołana. Zamiast przekształcać dzieci we wszechstronnie rozwiniętych dorosłych, produkuje specjalistów w zakresie nauk przyrodniczych, którzy są całkowicie nieświadomi Przyrody jako pierwotnego faktu doświadczenia, wydaje specjalistów w zakresie humanistyki, którzy nie wiedzą nic o swoim czy cudzym człowieczeństwie.

Psychologowie szkoły Gestalt, jak na przykład Samuel Renshaw, zaprojektowali metody poszerzania zakresu i pogłębiania ostrości ludzkich spostrzeżeń. Ale czy nasi fachowcy od edukacji je stosują? Odpowiedź brzmi: nie.

Nauczyciele w każdej dziedzinie umiejętności psychofizycznych, od sztuki patrzenia po tenis, od chodzenia po linie do sztuki modlitwy odkryli, metodą prób i błędów, warunki optymalnego funkcjonowania w obrębie tych określonych dziedzin. Ale czy którakolwiek z wielkich fundacji sfinansowała

projekt skoordynowania tych empirycznych odkryć w ogólną teorię i praktykę intensywnej kreatywności? Znowu, o ile mi wiadomo, odpowiedź

brzmi: nie.

Wszelkiego rodzaju przywódcy kultów i ekscentrycy uczą najrozmaitszych technik osiągnięcia zdrowia, szczęścia i spokoju umysłu; dla licznych ich słuchaczy wiele z owych technik posiada swą wymierną skuteczność. Ale czy dostrzegamy szacownych psychologów, filozofów i duchownych śmiało opuszczających się na dno tych dziwnych i czasem cuchnących studni, gdzie często spoczywa nieszczęsna Prawda? I tym razem odpowiedź brzmi: nie.

Przyjrzyjmy się teraz historii badań nad meskaliną. Siedemdziesiąt lat temu ludzie o niezaprzeczalnych kompetencjach opisali doświadczenia transcendentalne, przydarzające się tym, którzy w dobrym zdrowiu, w odpowiednich warunkach i z właściwym nastawieniem psychicznym zażyli ten środek. Ilu filozofów, ilu teologów, ilu profesjonalnych wychowawców wykazało dosyć ciekawości, by otworzyć te Drzwi w Murze. Odpowiedź, praktycznie rzecz biorąc, brzmi: żaden. W świecie, w którym edukacja jest w głównej mierze słowna, bardzo wykształceni ludzie nie są w stanie skierować uwagi na cokolwiek poza słowami i pojęciami. Zawsze są pieniądze, doktoraty, czekające na tych, co oddali się uczonej głupocie badań w dziedzinie, która dla uczonego stanowi najbardziej istotną problematykę: Kto wywarł wpływ na kogo by stwierdził co i kiedy? Nawet w naszej erze techniki, werbalistyczne nauki humanistyczne otacza się szacunkiem. Niewerbalne nauki humanistyczne, sztukę bezpośredniego uświadamiania sobie określonych faktów naszej egzystencji ignoruje się niemal całkowicie. Katalog, bibliografia, pełne wydanie ipsissima verba trzeciorzędnego wierszoklety, olbrzymi indeks, który usunie w cień wszystkie indeksy — każdy autentycznie aleksandryjski projekt ma zagwarantowaną akceptację i poparcie finansowe. Ale kiedy przychodzi do odkrycia, jak ty i ja, nasze dzieci i wnuki możemy stać się bardziej spostrzegawczy, bardziej intensywnie świadomi wewnętrznej i zewnętrznej rzeczywistości, bardziej otwarci na Ducha, mniej podatni, z powodu psychologicznych negatywnych oddziaływań na fizyczne choroby i bardziej zdolni do sterowania własnym autonomicznym układem nerwowym — kiedy przychodzi do jakiegokolwiek formy niewerbalnej edukacji bardziej zasadniczej (i mającej większe

zastosowanie praktyczne) niż gimnastyka szwedzka, żadna szacowna osoba w żadnym szacownym uniwersytecie, czy kościele nie będzie chciała mieć z tym nic wspólnego. Werbaliści są podejrzliwi wobec sfery niewerbalnej; racjoniści boją się określonych, nieracjonalnych faktów; intelektualiści mają poczucie, że „to, co postrzegamy okiem (czy w jakiś inny sposób) jest nam jako takie obce i nie musi wywierać na nas silnego wrażenia.” Poza tym, kwestia edukacji w zakresie niewerbalnych nauk humanistycznych nie mieści się w żadnej ustalonej przegródce. Nie jest to religia, neurologia, gimnastyka, moralność, czy nauka o prawach i obowiązkach obywatela, ani nawet psychologia eksperymentalna. Skoro tak jest, temat ten, z punktu widzenia akademickiego czy kościelnego, nie istnieje i można go bezpiecznie ignorować lub pozostawić, z protekcyjnym uśmiechem, tym, których faryzeusze werbalistycznej ortodoksji określają mianem dziwaków, znachorów, szarlatanów i niekompetentnych amatorów.

„Zawsze stwierdzałem”, pisał z pewną goryczą Blake, „że Anioły mają próżność uważać siebie za jedynych mędrców. Czynią to z pewnym siebie zuchwalstwem, będącym owocem systematycznego rozumowania.”

Systematyczne rozumowanie jest czymś bez czego jako gatunek czy jako jednostki nie moglibyśmy się obyć. Ale jeśli mamy zachować zdrowie psychiczne, nie możemy się też obyć bez bezpośredniej percepcji (im mniej usystematyzowanej, tym lepiej) zewnętrznych i wewnętrznych światów, w jakich się narodziliśmy. Ta dana nam rzeczywistość jest nieskończonością, która przekracza wszelkie pojmowanie, a przecież jest bezpośrednio i w całej swej pełni postrzegana. Ta transcendencja należy do innego porządku niż ludzki, a jednak może się nam uobecnić jako poczucie immanencji, jako przeżycie uczestnictwa. Być oświeconym to zawsze sobie uświadamiać pełnię rzeczywistości w jej immanentnej inności

— uświadamiać sobie, a jednak pozostać w stanie umożliwiającym przetrwanie na poziomie zwierzęcym, pozwalającym na myślenie i odczuwanie w wymiarze ludzkim, na odwołanie się tam, gdzie jest to konieczne, do systematycznego rozumowania. Naszym celem jest odkrycie, że zawsze znajdowaliśmy się tam, gdzie powinniśmy. Niestety, bardzo utrudniamy sobie to zadanie. Tymczasem jednak dysponujemy niezasłużonymi łaskami w postaci cząstkowych i przemijających wglądów.

W bardziej realistycznym, mniej werbalistycznym niż nasz systemie edukacji, każdy Anioł (w blakeowskim sensie tego słowa) otrzymałby zezwolenie na urlop, byłby nakłaniany, a jeśli to konieczne, zmuszony do okazjonalnej podróży przez jakieś chemiczne Drzwi w Murze w świat doświadczenia transcendentnego. Gdyby odnalazł tam przerażenie, byłoby to godne ubolewania, ale być może zbawienne. Gdyby dało mu to krótką, ale beczasową iluminację, tym lepiej. W

każdym przypadku Anioł miałby szansę pozbyć się choć trochę owego pewnego siebie zuchwalstwa, będącego owocem systematycznego rozumowania i świadomości, że przeczytał wszystkie możliwe książki.

Pod koniec życia święty Tomasz z Akwinu doznał kontemplacji wlanej. Po tym doświadczeniu nie zdecydował się na powrót do pracy nad swą nieukończoną książką. W

porównaniu z tym doznaniem wszystko, co przeczytał, o czym dyskutował i co napisał—

Arystoteles i Zdania, Pytania, Tezy, monumentalne Summy — zdało mu się garścią słomy.

Dla większości intelektualistów taki strajk okupacyjny byłby czymś niewłaściwym, a nawet moralnie nagannym. Ale Doktor Anielski miał za sobą więcej systematycznego rozumowania niż dwanaście zwyczajnych Aniołów i dojrzał już do śmierci. Zapracował

sobie na prawo, by w ostatnich miesiącach swej śmiertelnej kondycji porzucić czysto symboliczną słomę i plewy na rzecz chleba rzeczywistego i substancjalnego Faktu. Anioły niższego porządku, mające w dodatku lepsze perspektywy długowieczności, muszą powrócić do słomy. Ale człowiek, który wraca przez Drzwi w Murze nigdy nie będzie taki sam, jaki był. Będzie mądrzejszy, ale mniej arogancko pewny siebie,

. szczęśliwszy, ale obdarzony mniejszą dozą samozadowolenia, pokorniejszy w akceptacji własnej niewiedzy, a jednak lepiej przygotowany do pojmowania realizacji między słowami a rzeczami, między systematycznym rozumowaniem a niezgłębianą Tajemnicą, którą próbuje zawsze na próżno

z głębiac.

Przypisy:

1 Patrz następujące prace: Schizophrenia: A New Approach Humphry Osmond i John Smythies „Journal of Mental Science” Vol. XCVIII. Kwiecień 1952. On Being Mad Humphry Osmond „Saskatchewan Psychiatric Services Journal”. Vol. I. No. 2. Wrzesień 1952. The Mescaline Phenomena John Smythies „The British Journal for the Philosophy of Science”. Vol. III. Luty 1953. Schizophrenia: A New Approach Abram Hoffer, Humphry Osmond i John Smythies. „The Journal of Mental Science” Vol. C. No. 418. Styczeń 1954.

W przygotowaniu inne liczne artykuły na temat biochemii, farmakologii, psychologii i neurofizjologii schizofrenii i przeżyć po meskalinie.

2 W swojej monografii Menomini Peyotism, opublikowanej (grudzień 1952) w

„Transactions of the American Philosophical Society”, profesor J. S. Slotkin napisał, że

„nałogowe zażywanie pejotlu nie wywołuje zwiększonej tolerancji ani zależności. Znam wielu ludzi, którzy używali pejotlu przez czterdzieści czy pięćdziesiąt lat. Ilość zażywanego pejotlu, jest uzależniona od tego, jak uroczysta jest okazja; na ogół nie zażywają obecnie więcej pejotlu niż przed laty. Czasem między obrzędami upływa miesięczna lub dłuższa przerwa i w tym okresie obywają się bez pejotlu nie odczuwając żadnego jego łaknienia.

Osobiści, po serii obrzędów odbywających się podczas czterech kolejnych weekendów, nie zwiększyłem dawki skonsumowanego pejotlu ani nie odczuwałem żadnej ciągłej jego potrzeby.” Niewątpliwie istnieją uzasadnione powody, dla których „pejotlu nigdy nie uznano prawnie za narkotyk ani też rząd federalny nie zakazał jego używania”. Jednakże

„podczas długiej historii kontaktów Indian z białymi, biali urzędnicy starali się zlikwidować używanie pejotlu, ponieważ był sprzeczny z ich obyczajami. Ale te próby zawsze ponosiły fiasko.” W przypisie dr Slotkin dodaje, że

„zdumiewające jest wysłuchiwanie fantastycznych opowieści o efektach pejotlu i charakterze obrzędu snutych przez białych i katolickich indiańskich urzędników w rezerwacie Menomini. Żaden z nich nie miał najmniejszego osobistego doświadczenia z samą rośliną czy religią, niektórzy jednak uważają się za autorytety i piszą oficjalne raporty na ten temat.”